ROK II. Nr. 48 (97) Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem 30 listopada 1930 r.

7 DNI

CENA 50 GR

1830
1930







WITAJ JUTRZENKO SWOBODY, ZA TOBĄ ZBAWIENIA SŁOŃCE!..



Zbiórka spiskowców przy pomniku Sobieskiego.



Zdobywanie Belwederu.



Zdobycie arsenału.

ZDZISŁAW KLESZCZYŃSKI.

W SETNĄ ROCZNICĘ

Olbrzymi i złożony organizm, jakim jest naród, przechodzi, podobnie, jak jednostka ludzka, okresy upadków — i tryumfów. Niedomaga, chorzeje nawet — i naraz krzepnie, odzyskuje rumieńce, podnosi dumnie głowę.

Zbliżająca się rocznica 100-na powstania listopadowego analogje te najżywiej nam uwydatnia. Wszyscy rozumiemy olbrzymią doniosłość wypadków, które się w Polsce wówczas rozegrały. Przekreśliły one rachunek polskich błędów i grzechów, dały najpiękniejsze świadectwo naszemu patrjotyzmowi i umiłowaniu wolności, a chociaż skończyły się, jak wiemy, klęską — nic z tego, co z serc ludzi ówczesnych, jak lawa, wytrysło, nic z tego, co nad głową ówczesnego pokolenia, jak pióropusz, powiało — żadne, najdrobniejsze nawet, ziarno obywatelskiej mądrości, żadna, najmniejsza kropelka żołnierskiej, uczciwej krwi — nie poszły na marne.

O historji powstania listopadowego mówić — dociekać, dlaczego nie dało nam zwycięstwa? — to trud uczonego, historyka. Ma zresztą ta stronica męstwa i martyrologji polskiej tak wyjątkowo bogatą literaturę, że nie nam się tu kusić, na szpaltach tygodnika obrazkowego, o najpobieżniejszą bodaj owych czasów syntezę. Jeżeli, mimo to, niegodnem naszem piórem, dotykamy wieńców chwały i urn żałoby, czynimy to w przeświadczeniu, że w historji narodu niema pauz, ani przerw, że nieustannie bić powinny narodowe tętna, a gdyby na chwilę bodaj osłabły, albo co gorsza, bić przestały — równałoby się to groźnej chorobie, albo może nawet letargowi...

*

Czasy nasze, pełne nieraz chwalby, powiększania własnych skromnych zasług, a przedewszystkiem pełne niezdrowego kultu dla potęgi pieniądza, wyrobiły w najmłodszem polskiem pokoleniu pewien osobliwy rys, który nie zawahałbym się nazwać *klepaniem po ramieniu przeszłości.*

Przeszłości, jako takiej, w niczem to nie zaszkodzi, nie pomniejszy jej, ani nie przeinaczy — bo cała zawarła się już w dziejach dokonanych, które same za siebie mówią — a jeśli nawet, tu, czy tam, niesprawiedliwość historyka, albo krótkowzroczność ludzka czegoś niedojrzała, coś skaziła — umarli nie wstaną i o krzywdy swoje się nie upomną. Sprawy minione leżą pięknie poszeregowane w tekach, albo wyryte na pomnikach. Dalsze ciągi — dawno puściły korzenie i okryły się koronami zieleni. Życie płynie...

Szkodzi natomiast owo *klepanie po ramieniu przeszłości* — spółczesnemu, żyjącemu

(Ilustracje Piwarskiego.)

POWSTANIA LISTOPADOWEGO

pokoleniu. Zaciemnia w znacznym stopniu jego sądy o zasługach przodków. Dezorjentuje w najwyższym stopniu. I pogrąża w analfabetyzmie!

Bo gdybyśmy, zamiast lekkomyślnego, a nieraz wprost protekcjonalnego stosunku do przeszłości, wysilili się na stosunek objektywny, na szacunek, a kto wie? — może nawet pjetyzm? — odkrylibyśmy w rzeczach dawnych skarby, o jakich się dzisiejszym niedoukom nie śniło. Odkrylibyśmy studnie mądrości, wprost zawrotne. Cnoty, jakich się dziś prawie nie spotyka. Skarby serca, skarby wiedzy, skarby języka i polotnej myśli, wyrażonej nie trzebioną gwarą, tylko kryształową, jasną, soczystą polszczyzną...

Samego pamiętnikarstwa owych czasów (mówiąc choćby o lekturze!) starczyłoby na długie noce zadumy...

A cóż dopiero powiedzieć o innych, z ludźmi listopadowymi, okazjach obcowania?

*

Myślę, że niezależnie od obchodów, oficjalnych akademij i tym podobnych uroczystości i wspominków, których znaczenie i wagę w zupełności oceniam — niezależnie od odczytów, studjów, dzieł, z listopadowem powstaniem związanych, powinnibyśmy uczynić wszyscy coś, coby męstwu i patrjotyzmowi owej epoki wystawiło najtrwalszy pomnik, i było godne pamięci bohaterów.

Tem czemś winnoby być, zdaniem mojem, obudzenie w sobie obywatelskiej czujności.

Przeciętnie biorąc, wszyscy jesteśmy poczciwymi ludźmi i serdecznie tę naszą Polskę kochamy. Zasypiamy jednak nieraz wtedy, kiedy należałoby właśnie czuwać. Lenimy się tam, gdzie należałoby działać. Oddajemy innym troskę o Rzecz Pospolitą — a ta troska powinna być właśnie w nas samych, w naszych sercach, w naszych czynach...

*

Heroizmowi powstania listopadowego winni jesteśmy, po stu latach, przynajmniej to zadośćuczynienie, żeby pokolenie, cieszące się Polską wolną, nie zamykało oczu na grożące nam zewsząd niebezpieczeństwa, tylko stało twardo na straży swoich — duchowych i fizycznych — granic.

Wszystko jedno, czem-by się naród upił: władzą, czy właśnie brakiem władzy, terorem, czy bezkarnością, zbytkiem wiary we własną potęgę, czy strusim lękiem — jeżeli będzie pijany, upadnie.

Przyszłość należy do narodów przytomnych, trzeźwych, mężnych.

A przedewszystkiem — do takich narodów, których bohaterów nie trzeba wyliczać na palcach, ani na palcach wyliczać — posłusznych Prawu.



Zdobycie więzienia przy ulicy Długiej.



Na placu Krasińskich.

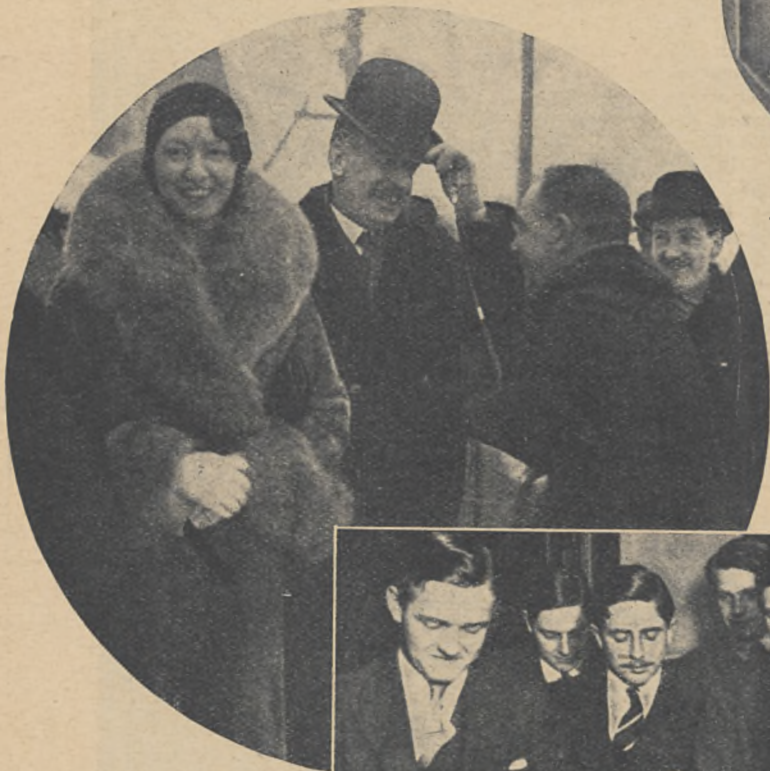


Plac zamkowy.

Z całego świata



Medal pamiątkowy z powodu 100-lecia powstania listopadowego, wykonany przez W. Wabia Wabińskiego.



P. Charles Dewey opuścił naszą stolicę. Żegnała go na dworcu elita towarzystwa stołecznego oraz przedstawiciele poszczególnych ministerstw.



Francuski mistrz wszech-nauk dyplomatycznych, p. Turquet, jest wykładowcą dobrego tonu w szkole nauk politycznych w Londynie .



W wojennym porcie francuskim w Brest obchodzono uroczyście 100-lecie Wyższej Szkoły Morskiej.



Na wyspie Formozie wybuchły poważne rozruchy antyjapońskie Tubylcy napadli znienacka na rezydencje władz i zmasakrowali kilku dostojników.

NERVUS RERUM

Nazwa pieniądza, bezwzględu na to, jakby nie brzmiała, jest zawsze miłą, ponieważ jej wcielenie wiąże się z niezliczonemi rozkoszami, któremi możemy się napawać, jak również z marzeniami i pragnieniami, które się nam mogą ziścić. Pieniądz — nervus rerum — to zło i dobro człowieka, ten wynalazek szatana i anioła, posiada w sobie jakiś zadziwiający czar. I dziwnym może się wydać fakt, że pomysłowość ludzka nie nadwyrężyła się zbytnio przy nadawaniu mu nazwy; nie fantazja, lecz sucha proza była jego matką chrzestną.

Najbardziej znane monety uzyskiwały swoje pierwotne miana od nazwy metalu, z którego były wykonane. Do nazwy metalu przypięto również ilość kruszcu, zużytego na wyrób monety. I tak: **funt szterling** lub francuski **luidor** nie oznaczają nic innego, jak ciężar jednego funta.

Tael oznacza funt chiński. **Pezo, pezeta** mają też w sobie coś z ciężaru.

Gulden znów, bity obecnie ze srebra, pochodzi od nazwy złota „golde", ponieważ początkowo był robiony tylko ze złota. Geneza nazwy naszego **złotego** pochodzi z tego samego źródła. **Rupja** indyjska bierze początek ze słowa sankryckiego, oznaczającego srebro. Wreszcie istnieją pieniądze, których nazwa związana jest bezpośrednio z miejscowością, osobą, krajem lub nawet mennicą. Do tych należą: **korona, suweren,** hiszpański **real** (oznacza — królewski), który znowuż zawiera w sobie mnogość **rejsów**, a więc **milrejs.**

Gulden jest istotą „dwojga imion", gdyż nazywają go też **florenem**, od miasta Florencji, jego miejsca urodzenia.

Dukat wywodzi swój ród z księstwa (ducatus) Alpulji, **cekin** znowuż był bity przez mennicę (zecca) w Wenecji. Nazwa **talara** przywiązana jest do pewnej miejscowości w Czechach, Joachimsthal, a powstała już w XVI wieku. **Halerz** inaczej **heller** ma coś wspónego z inną piękną miejscowością: Schwäbisch-hall. **Grosz** czyli „grubas" pochodzi od słowa „grossus", ponieważ w przeciwieństwie do ówczesnych, cienkich jak papier, srebrnych monet wyglądał bardzo poważnie.

Serbski **dinar** to mocno okrojony rzymski srebrny **denarius**, a złoty **solidus** zdegradowany został do skromnego **sou i solda.**

Ciekawą jest historja powstania słowa **sterling** od Easterling (Oestling). Był to srebrny fenig, którego wprowadzili na rynek angielski kupcy hanzeatyccy, przybyli ze wschodu.

Funt angielski był w owym czasie tylko miarą ciężaru, jak również, w przenośni, pojęciem pewnej mnogości.

Tak, jak u nas tuzin oznacza 12 jednostek, a kopa 60, funt oznaczał 240 jednostek. I w ten sposób 240 sterlingów nazwano funtem sterlingów. W miarę lat dla oznaczania ciężarów szlachetnych metalów przyjęto nazwę Troy - pfunt.

Funt szterling natomiast przylgnął nazawsze jako imię monety obiegowej.

Zdawałoby się, przynajmniej napozór, że martwa nazwa tego nieodzownie potrzebnego elementu do życia, jakim jest pieniądz, nic pozatem przez siebie nie mówi. Jednakże, skoro się bliżej przypatrzymy historji, a raczej ewolucji powstawania nazw monet i ich faktycznym wartościom, to nasunie się nam bardzo ciekawa refleksja. Pieniądz coraz mniejszą przedstawia wartość. W miarę stuleci, inflacja, idąca w parze z rozwojem narodów, ich wzajemnem zazębianiem się na tle ekonomicznem, obniżała tak wartość pieniądza jak i wartość kruszcu, z którego był wykonany. Miara wagi metalu, którą nazywano monetą, stała się niejako symbolem jej poprzedniej równowartości. Dawniejszy pezo czy też luidor nie ma nic wspólnego ze swem dzisiejszem młodszem pokoleniem. I dlatego śmiesznem się wydaje porównanie cen dawniejszych z dzisiejszemi, a raczej obliczaniem ilości i jakości towaru, otrzymanego za dawniejszy i dzisiejszy grosz. Zasadnicza jednostka monetarna, a właściwie jej symbol, pozostał ten sam. Natomiast rozdrabnia się on na coraz większe masy groszy, które przez to samo są coraz bardziej tanie.

Istnieje na świecie jedyna tylko moneta, która oparła się tej niszczącej ewolucji — jest nim funt szterling. Poważny ten i nawskroś konserwatywny produkt mglistego Albionu, naprzekór wszystkim, postawił wartość srebra na pierwszem miejscu przed złotem. Kiedy w poprzedniem stuleciu stosunek jednostki srebra wyrażał się cyfrowo 1:15½, to ostatnio stosunek ten wyraża się 1:54.

I kiedy wówczas funt srebra kosztował 3 funty szterlingi, to obecnie wartość 1 funta szterlinga jest wyższa od jednego funta srebra.

Funt szterling ceni swój honor nadzwyczaj wysoko. Trudno go dostać, ale nie dlatego, że jest w zbyt znikomej ilości, lecz wskutek swego arystokratycznego stanowiska pośród szarego tłumu innych pieniędzy.



Śmierć generała Sowińskiego na Woli, podług obrazu Wojciecha Kossaka.

OR-OT.

Sowiński

Sto tysięcy Moskali!
Warszawo! do zgonu
Nie pochyli sztandaru reduta stracona!
Grzmijcie działa! Wyj, tłuszczo!
Słońce! z nieboskłonu
Patrz! — i Bogu złóż raport jak bohater kona!
— Generale! daj szpadę!
Salwa!
— Krzycz pardonu!
Salwa!

Z rykiem, jak orkan, wali czerń zbieszona,



Krzyż postawiony na miejscu śmierci generała Sowińskiego.

A tam w górze, męczeńska czeka już korona
I wraz padnie laur krwawy u Bożego tronu!
— Pal!
— Proch wyszedł!
— Bagnety starczą nam!
— Strzaskane!

— Kamraci! Pierś do piersi! z serc uczyńmy ścianę!
Życie wezmą! honoru nie zabiorą w łupie!
— Ura! Kłąb ciał i sztyków zmaga się z nim, tarza,
Padł: Ojczyzno!
Dobili! Krew bluzga z ołtarza!
A wróg stanął nad trupem i drżał:
Bóg był w trupie!

DR. E. STRĄŻYSKI.

1830-1930

WZRUSZAJĄCA KSIĄŻECZKA

Warto o niej wspomnieć... Szczególnie dzisiaj, gdy brzmią mowy Treviranusa, a hakata coraz to bezczelniej domaga się rewizji naszych granic. — I to, że Liga Narodów potrafi, mimo wszystko, zgromadzić u wspólnego stołu przedstawicieli tylu narodów, każe nam otrząsnąć z pyłu tę niewielką broszurkę, drukowaną gotyckiemi literami. Nikt o niej, prócz historyków, oczywiście, nie pamięta. Ukazała się w lutym 1831 roku, a miejscem jej wydania jest „Warschau". Niechaj nikogo jednak nie razi to niemiłe przeinaczenie nazwy stolicy naszej, bo treścią książeczki jest *apologja powstania listopadowego.* I to jest właśnie trzecim i najważniejszym powodem, dla którego ze wzruszeniem dziś właśnie, w wielką stuletnią rocznicę, nad rzadkim tym drukiem zamyśleć się winni ci, których pradziadowie „za wolność naszą i waszą" walczyli.

Autor broszurki powiada o sobie: „Słów tych nie wypowiada mówca lub żołdak najemny, lecz Niemiec, mieszkający w Warszawie, który z radością życie swe przynosi w ofierze sprawie Polski. Sprawa ta bowiem jest rzeczą świętą i sprawiedliwą dla całej ludzkości". — Szlachetny Johann Georg Pape, który wstąpił jako ochotnik do 5-go pułku strzelców pieszych sformowanego w Warszawie, koniecznie chce wyjaśnić swym rodakom, czem jest w istocie sprawa polska. Książeczka jego nosi dziwny tytuł: „Worte über das Besserwerden auf Gottes Erde" (Słowo o tem, jak staje się lepiej na Bożym świecie).

Pozorna naiwność zatargu pomiędzy chrześcijańskim pacyfizmem, a koniecznością walki orężnej o dobrą sprawę, która jest nietylko sprawą jednego narodu, *lecz ludzkości*, kryje w sobie głębokie wartości moralne człowieka, pięknego wewnętrznie.



Wincenty Matuszewicz, pułkownik z województwa Trockiego w r. 1830.

Czyż nie miły jest nam ów nieznany bliżej (ur. w 1807, um. 1854 r. w Berlinie jako nauczyciel gimnazjalny i leksykograf) J. G. Pape, gdy powiada z najgłębszem przekonaniem: „Nie powinni prowadzić wojny ci, którzy wierza w Krzyż. Czyż można jednak uważać za chrześcijański, rząd, który łamie najświętsze przyrzeczenia, gwałci wolność osobistą i nawet najtajniejsze myśli każe śledzić przez płatnych szpiegów?!" — I dlatego właśnie stanął jako ochotnik w polskich szeregach. Jakże jest nie podobny do późniejszych „kulturtraegerów" i żołdaków ze „Stahlhelmu". Często w skromnych słowach Papego brzmi ton, przypominający nam swą barwą mistyczną i uczuciową „Księgi pielgrzymstwa": „Narody są wielką rodziną *jednego* ojca, mieszkają na *jednej* kuli ziemskiej, którą otacza *jedno* niebo". Polacy chwycili za oręż, aby bronić nie tylko swoich praw, lecz i całej ludzkości. Autor prostuje z oburzeniem kłamstwa berlińskiej gazety urzędowej ,która twierdzi, że na ulicach Warszawy płynęła krew strumieniami; dodaje też od siebie, że byłoby prawdopodobnie miło despotom, aby płynęła, a następnie mówi, że należy podziwiać, jak mało ludzi zginęło podczas tak wielkich wydarzeń rewolucyjnych. Polacy w powstaniu są pełni gorącej odwagi, wytrwałości i żelaznej nieustępliwości. Warszawa może służyć za wzór wszystkiego, co w kraju jest wielkie i szlachetne. Polak nie walczy z Rosjaninem, a z wołającą do nieba przemocą i gwałtem. Taki naród może tylko zwyciężyć, lub zginąć.

Johann Georg Pape zadokumentował nietylko swą rozprawką, lecz przedewszystkiem czynami, jak wielka idea rozwalić może przegrody, które nieporozumienia rasowe wznoszą pomiędzy narodami. I dlatego nie można nie zapomnieć o nim w tak wielką dla nas rocznicę. Wzruszająca książeczka!...

HENRYK FIEDLER.



MECENAS LITERATURY

— Pan redaktor prosi...

Woźny zamknął bezszelestnie drzwi. Zych ujrzał przed sobą okrągłą, uśmiechniętą twarz człowieka, który miał za chwilę wydać wyrok życia lub śmierci na jego całą późniejszą działalność literacką.

Łaskawie uprzejmy ruch, wskazujący wygodny miękki fotel, poczem pytanie:

— Woli pan cygaro, czy papierosy?...

Zych, którego zdenerwowanie dosięgło obecnie kulminacyjnego punktu, odpowiada, że nie pali. Poczem słyszy krótki wykład o zgubnych skutkach nikotyny, o konieczności wprowadzenia zakazu wyrobu tytoniu, pochwałę dla siebię że niby mało jest młodych ludzi obecnie, którzy potrafią się oprzeć jakiemuś nałogowi, poczem... poczem gęsty obłok dymu zasłania rozsłonecznioną twarz redaktora.

Zych słyszy wszystko, skwapliwie przytakuje, zły jest na siebie za to, ale nie może utrzymać nerwów na wodzy, które pulsują w nim niczem rozszalałe fale.

Potem następuje chwila przerwy, której nie potrafi zapełnić słowami. Z sąsiedniego pokoju słychać stukot maszyny do pisania. Wreszcie...

— Przeglądałem tutaj pańską pracę... nowelę... napisana nieźle... można wyczuć w niej dużo nerwu... charaktery osób są zgrabnie wyrzeźbione... tak..., konflikt jest ciekawy.... tylko, wie pan, ja gdzieś, coś podobnego czytałem...

Znowu chwila ciszy i stukot maszyny.

— Małżeństwo... niedobrane... bezdzietne... ona pragnie żyć pełną piersią szczęścia... podróżować... bawić się... stroje... klejnoty, a on... skromny pracownik, z trudem wiążący koniec z końcem. Raz na tydzień kino i to na galerji... rzadko teatr... nuda, pustka, niezaspokojone pragnienia. Wreszcie dramat. Ona znajduje przyjaciela, on cierpi... wreszcie rozstają się, ale on nie może tego przeżyć... odbiera sobie życie... Tak... tempo niezłe, akcja w miarę się rozwija, napięcie nieustannie wzrasta. Ale widzi pan, podobną rzecz gdzieś czytałem... Ja panu coś powiem. Z pana może się wyrobić niezły dziennikarz, może nawet literat. Potrafi pan chwycić, że się tak wyrażę, djabła za rogi, tylko wielu z was, młodych, nie potrafi zdobyć się na absolutną indywidualność tematu. Coś w każdym z was pozostaje i pokutuje z dawna przeczytanych czy usłyszanych rzeczy. Siadając do pisania należy zapomnieć o tem, co was otacza, należy zerwać wszystkie nici, wiążące was ze światem i ludźmi, niejako dać nurka wgłąb własnej indywidualności i wypłynąć dopiero pod obtarciu pióra. Ale to z czasem przyjdzie samo... Nie chcę panu odbierać żadnej nadziei... Niech pan pisze, wyrabia się, przyniesie mi od czasu do czasu swoją pracę... Chętnie ją przejrzę razem z panem, poprawię, skrytykuję, przedyskutujemy temat, formę, styl...

Zych zerwał się z fotela. Na jego bladej twarzy malował się wyraz cierpienia. Cierpiał nie za siebie, lecz za tego człowieka, który mu dawał w słodzonym opłatku gorzką pigułkę. Wiedział doskonale, że tamten nie czytał nawet rękopisu. Poprostu powtarza to, co mu on sam w krótkości mówił tydzień temu, w tym samym gabinecie. Cierpiał nad tem, że go posądzają o nieudolną przeróbkę, o kradzież czyjegoś pomysłu. To posądzenie było najgorszą rzeczą, jaka go mogła spotkać w życiu. Mógł teraz przekreślić całą swą wymarzoną karjerę; pod nogi rzucono mu wielką kłodę, której nie będzie mógł w stanie przestąpić. Człowiek, do którego przyszedł, jest przecież niebylejakim potentatem literatury. Od jednego jego słowa zależy los setek ludzi, których może przekreślić raz na zawsze. Ze zdaniem jego liczą się wszyscy i nikt nie ośmieli się przyjąć najlepszej jego pracy, nie chcąc się narażać wielkiej wyroczni.

Ukłon, lekki uścisk dłoni, karmelkowaty uśmiech i słowa:

— Niech pan do mnie przychodzi... w każdej sprawie... drzwi dla pana zawsze stoją otworem.

A potem, po wyjściu klijenta, do woźnego:

— Jak kiedykolwiek ten pan przyjdzie, proszę powiedzieć, że mnie niema.

✳

Nieśmiało dzwoni Zych do mieszkania państwa K. Za chwilę ma zobaczyć się z Zochną i zdać relację ze swej wizyty w redakcji.

Czysto ubrana pokojówka wpuszcza go do salonu. Zych chodzi nerwowo po dywanie. Nie może zebrać myśli. Machinalnie zaczyna liczyć swoje kroki. 1, 2, 3... 15... 65... 90..

— Ładnych rzeczy się o tobie dowiaduję!...

Przed Zychem stoi Zochna, patrząc nań pogardliwym i niechętnym wzrokiem.

— Na ładne mnie narażasz historje. Ledwie uprosiłam redaktora P., żeby cię przyjął, poznął twe prace, a on zjawia się, jakby nigdy nic i przynosi pościągane, Bóg wie od kogo, nowele.

— Ależ, Zochno!...

— Daj mi spokój, nie przerywaj, kiedy do ciebie mówię. Rozmawiałam przez telefon z...

— ...z tym ignorantem, który ma w sobie tyle bezczelności, by nie czytając, wygłaszać swe nierozsądne krytyki i rzucać niezasłużone oskarżenia.

— Jak śmiesz się o nim tak wyrażać. Chyba nie wiesz, że dzięki niemu wielu młodych ludzi otrzymało poważne stanowiska w literaturze. Jest on prawdziwym dobroczyńcą dla młodych talentów, które sobie wywalczają prawo do wstępu na Panteon literatury.

— Panteon literatury, na którem króluje twój dobroczyńca, jest niczem innem, jak cuchnącem podwórkiem ludzi, wzajemnie się adorujących. Nie jestem poganinem, by spalać kadzidła pochlebstw przed bałwanem, mieniącym się wyrocznią literacką.

— No, tego już za wiele, mój panie!... Nie pozwolę w swoim domu obrażać ludzi, których cenię. Mam wrażenie, że po dzisiejszym incydencie wszystko między nami skończone. Nie życzę sobie być w przyszłości żoną plagjatora. Ani pozycja towarzyska, ani dostateczne źródło dochodów. Żegnam!...

✳

Zych długo błądzi po ulicach. W mózgu tkwi ciągle ohydne słowo, niby piętno hańby, wypalone na czole.

Plagjator!... Toż to śmierć cywilna, wilczy bilet, pozbawienie praw obywatelskich w wielkiej międzynarodowej rzeczypospolitej literackiej.

Plagjator!... złodziej, łupieżca cudzej pracy, cudzych myśli. Rzezimieszek, podstępnie strojący się w cudzy płaszcz, którego tkanina kosztowała może wiele lat pracy, zaparcia się siebie, a może życie.

Najgorszy gatunek szubrawca, równy temu, który kradnie pieniądz z czapki ociemniałego żebraka.

I to on ma nosić to miano, on, który żył każdą swą pracą, życiem swych bohaterów, w których się nieomal wcielał, cierpiał ich cierpieniem, cieszył się ich szczęściem...

Marzenie jego całego życia zdruzgotane marnem słowem, zmazującem za jednem pociągnięciem jego dotychczasowy dorobek. Cóż mu pozostaje teraz do zrobienia? Wyrąbywać stopnie w tępej opornej skale, przy pomocy siekiery lizusostwa? Łudzić się nadzieją, że znajdzie się ktoś, kto się na nim pozna i poda mu rękę?

Zych czuje niesmak w ustach i pieczenie w gardle. Lepsza śmierć, niż takie upodlenie...

✳

— No i niech pan sobie wyobrazi, ten młodzieniec, który mi przyniósł jakąś nowelę, odebrał sobie życie. Mówiono mi o nim, że rokuje najlepsze nadzieje na przyszłość... A tu masz los... Kula w łeb... I co za przyczyna... Tak... tak... ci młodzi ludzie sami nie wiedzą czego chcą... I jak tu ma powstać nowa generacja pisarzy, którąby nam, starym, pozwoliła odpocząć... A więc... żegnam pana... w każdej chwili będzie pan u mnie mile widziany... Może pan przyniesie coś innego... zobaczymy, przedyskutujemy wspólnie...

Uścisk dłoni, karmelkowaty uśmiech. A potem do woźnego:

— Jak tu ten pan będzie się o mnie pytał, proszę powiedzieć, że mnie niema...





DR. E STRZĄŻYSKI

ILLO TEMPORE...

(WYWIAD Z PRZED LAT STU)

Wszyscy jesteśmy obecnie nastawieni na naszą wielką rocznicę narodową. Ukazały się już nowe marki pocztowe, przygotowuje się cały szereg obchodów i uroczystości... Nic więc dziwnego, że podczas zwiedzania, w ubiegłym miesiącu, wystawy turystycznej w „Bagateli", przypomniała mi się nagle następująca ocena owego miłego ogródka: „Bagatela iest na końcu Ujazdowskich ulic. Ogród w pięknym urządzony guście, którego właściciel J. P. Szwot nic nie zaniedbał, coby przyiemność Publiczności przynieść mogło. Restauracia wyborna, sala wielka w Chińskim odrobiona guście, wiele innych salonów i pięknie ubranych pokoi. Gry, rozmaite orkiestry, liczne małe widowiska. Uroczystości wieyskie, Illuminacye i faierwerki. Mieysce to licznym zbiorem osób zawsze uszczęszczane bywa".

Styl oceny Bagateli spodobał mi się tak bardzo, że postanowiłem zrobić wywiad z jego autorem. Udałem się więc natychmiast na Okólnik i tam, w poważnej ciszy bibljoteki hr. Krasińskich, dokonałem krótkiego wywiadu, na tematy turystyczne oraz codzienne z przed lat stu.

Szanowny mój, a wielce sędziwy rozmówca, stwierdził, że szlak z Krakowa do Warszawy przez Końskie i Nowe Miasto jest doskonały, wynosi bowiem tylko 45 mil, przyczem „z Raszyna do Warszawy płaci się na poczet milę więcej, która się królewską milą nazywa".

— Czy odczuwano głód mieszkaniowy w stolicy?

— Bynajmniej... Według ostatniego spisu ludności z 1819 r. mieliśmy tylko 100.000 mieszkańców i 20.000 garnizonu, tyranizowanego przez w. ks. Konstantego. Wystarczał nam doskonale jeden jedyny „pływający" most, u wylotu ul. Bednarskiej. Pisma nie podawały sensacyjnych wiadomości o kulcie djabła w lożach masońskich, a przeciwnie, zaliczano loże do instytucyj użytecznych i podawano do wiadomości publicznej ich adresy. Tak więc wiedziano doskonale, gdzie w Krakowie znajduje się „Góra Wawel i przesąd zwyciężony", a w Warszawie „Orzeł biały", „Izys", „Polacy połączeni", „Kaźmierz Wielki", „Tarcza północy", „Eleusis" i „Świątynia stałości". Wielki męczennik i bohater narodowy, Łukasiński, był przecież czynnym członkiem wolnomularstwa polskiego..

— Czy oświetlanie ulic było dobre?

— Miasto całe i znaczniejsze onego przedmieścia wybornie są oświecone nowowynalezionemi lampami Astralnemi, przez pana Argent początkowo zrobionemi, a później przez pana Bordier w Genewie wydoskonalonemi.

— Bezpieczeństwo publiczne pozostawiało prawdopodobnie wiele do życzenia?

— Występki gwałtowne i zbrodnie rzadko się przytrafią i można bezpiecznie tak we dnie, iako i w nocy przebiegać Miasto, bez żadney obawy również jak Kray. I nie nudziliśmy się w stolicy. Mieliśmy „Teatr Narodowy", a często, „w czasie iarmarków" Teatr Niemiecki, Amfiteatr, Hecą zwany, gdzie sztuki konne i na linach przez podróżujące Towarzystwa pokazywane bywaią, gabinet Fizyczno-Hydrauliczny i fantasmagorynę pana Michaud". Za złp. 5 dostałeś pan doskonały obiad w Hotelu Wileńskim, „a bułki Siedleckie przy wybornym smaku łączą białość i delikatność nadzwyczayną". Pozatem słychać w pismach, „iż w iednym z gmachów przy ulicy Miodowey ma bydź urządzona kawiarnia, iakiey ieszcze nie było w Warszawie. Ma bydź wystawiona obszerna sala w kształcie rotundy. Mieysca maią bydź osobne dla iedney tylko osoby, lubiącey zawsze bydź oddzielnie, jako też dla osób 2, aż do kilkunastu. Wszelkie pisma peryodyczne maią się znaydować, a wyborna muzyka uprzyiemniać pobyt gościom. Oddzielne będą pokoie dla lubowników faiek".

— Wielce szanowny pan przyzna jednak, że jeśli chodzi o hygjenę, to....

— Łaźnie mieliśmy wygodne i dobrze urządzone, „a prócz tego nakadzenie lekarskie przy ul. Wieyskiey Nro 1729, pomocne przy rumatyzmach i podagrze. Odbywało się ono przy pomocy aparatu, którego powierzchowność, mająca podobieństwo mebla, służy za ozdobę pokoiów, gdzie iest złożony, które nie mogą nie miłe sprawiać oboygu płci wrażenia".

— Czytałem jednak w Dzienniku Powszechnym Krajowym z dn. 25.VIII 1830 r. zdania następujące: „Wychowanie iest złe, gdyż prawie wyłącznie iest w ręku takich Francuzów i Francuzek, którzy w swoim kraiu nie mogli znaleźć chleba. Skłonność do picia iest bardzo powszechna. Szczególnie utalentowane i przyiemne są polskie damy... Kto się puszcza w podróż przez Polskę, musi się zabrać, iak gdyby podróżował przez puszczę. Częstokroć zdarzaią się okolice, gdzie nie masz żadnego domu i ieżeli nareszcie przybędzie się do wsi, zapewne karczma będzie pełna pijanych chłopów, robactwa i brudu. Warszawa nie czyni tego przyiemnego wrażenia na cudzoziemcu, co inne stolice, gdyż w niey bogactwo i nędza stoią tuż przy sobie; tu iest pałac marmurowy, a obok zaraz szereg chatek gontami pokrytych".

— Z tem mi W. Pan nie wyjeżdżaj, bo to pisał belfer, a w dodatku pluder z Królewca, pan Fryderyk Nösselt, więc z jednej strony niby to chwali, a jak tylko może, to łatkę przypnie. Przeczuwał widać, bestja, gdański korytarz...

Starszy pan zapiął się na wszystkie guziki i zanim jeszcze zdążyłem podziękować lub rzec: „pokorny sługa", schował się do szafy z książkami. Zostawił tylko na stole „Przewodnik dla podróżujących w Polsce" (Warszawa 1821, druk Glücksberga).

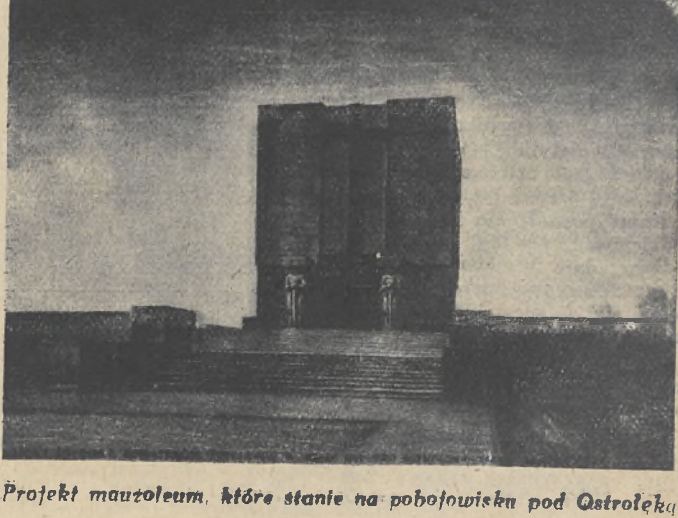
Naprawdę przez *u zwyczajne!*

Może dlatego nie powiedział mi swego nazwiska. Mniejsza jednak o to, bo pięknie sztychowana mapa i liczne miedzioryty są prześliczne i można z nich wyimaginować sobie doskonale, jakie to były u nas pejzaże illo tempore.

Pomniki bohaterów z 1830-31 roku



Mogiła bohaterów, poległych w bitwie pod Grochowem



Projekt mauzoleum, które stanie na pobojowisku pod Ostrołęką



Wzruszające sceny z misterjum „Jederman" interpretuje znakomicie słynny Moissi.



Misterja Salzburskie

„*Jederman*" przedstawienie o śmierci człowieka bogatego, wznowione przez Hugona v. Hofmannsthala pod reżyserją Maksa Reinhardta, tak brzmi pełny tytuł przedstawienia ściągającego codziennie w ciągu całego sierpnia tysiączne rzesze widzów na plac katedralny salzburski.

Już na godzinę przed przedstawieniem plac katedralny zaczyna się zapełniać. Plac szczelnie wkoło obudowany wysokiemi gmachami, na który to wejście prowadzi tylko przez dwie wielkie bramy, ma wspaniałe warunki akustyczne i jest wymarzoną salą widowiskową pod otwartem niebem. Mimo wysokich cen miejsc, pierwsze rzędy po 50 szylingów, czyli po przeszło sześdziesiąt pięć złotych, a najtańsze miejsca stojące, odgrodzone wysokiemi drewnianemi barjerami od miejsc siedzących po dwa szylingi, czyli niewiele mniej trzech złotych—wszystko zajęte, głowa przy głowie.

Przepiękny teren salzburski stanowi jedyne tło, dekorację i kulisy. Z za jego ciężkich zasłon pokrytych portali wychodzą aktorzy, z jego wnętrza odzywa się głos Boga i chóry aniołów, jego organy oddają ilustrację muzyczną, podkreślającą nastrój akcyj. Pozatem tylko estrada zbudowana z kilku rzędów drewnianych stopni i genjalna pomysłowość reżysera, która pozwala zapomnieć o bardziej skomplikowanych urządzeniach scenicznych.

Na treść misterjum składa się historja nietylko śmierci, lecz i życia każdego człowieka — *jederman*, — któremu los w życiu nie poskąpił powodzenia i ta właśnie codzienność, że tak nazwę, wypadków, daje każdemu z widzów możność zastanowienia się, wgłębienia się w treść życia, każdego wzrusza do głębi.

Jedermann jest bardzo bogaty. używa w pełni życia i jego rozkoszy. Właśnie naradza się z przyjacielem nad budową wspaniałej willi zamiejskiej, przeznaczonej na przybytek zabawy. Zdawałoby się, że nic mu nie może w tych projektach przeszkodzić. Szkoda tylko, że właśnie prowadzą do więzienia jego dłużnika i żona tego dłużnika z drobnemi dziećmi zastępuje drogę, błagając o litość nad mężem. Zlitować się nad człowiekiem, który się nie uiścił z zobowiązań pieniężnych? Przenigdy. Dokądbyśmy doszli tą drogą? Jedermann nie jest złym człowiekiem. Ma serce dostępne uczuciu litości. Każe się sługom zająć żoną i dziećmi skazańca, — lecz dłużnik idzie do więzienia. I znów biedny sąsiad pogorzelec przychodzi prosić o pomoc. Jedermann mu rzuca całą swą sakiewkę i jest wprost oburzony, że ten nędznik nie przyjął złota a przyszedł po jakieś współczucie, którego konieczności, a nawet potrzeby Jedermann zrozumieć nie może. A w dodatku matka, — mój Boże jakże nudne są stare matki, wiecznie moralizujące, — przychodzi upominać syna, aby porzucił próżne i hulaszcze życie i wrócił na drogę mieszczańskiej moralności i cnoty.



Urocze tło Salzburga

Nic to, nie należy zwracać uwagi na takie drobne przykrości, bawimy się jak zwykle. Nawet z marszałkiem dworu i z kucharzem. Czynią się przygotowania do uczty, właśnie słychać z oddali głosy dzwonków i śpiewów, tony skrzypiec i na plac wpada szalony korowód, otaczający kochankę Jedermanna. Nie kochankę nawet, bo autor ją krótko, a dobitnie nierządnicą nazywa. Jest piękna, ponętna i chciwa. Schodzą się goście. Sami przyjaciele, krewni, piękne kobiety. Uczta - bachanalja należy do najlepiej pomyślanych scen reżyserji. Pijatyka, śpiewy i tańce. Jedermann obejmuje wszystkie kobiety, jego kochanka całuje wszystkich mężczyzn. Rozpasanie zupełne. I nikt nie widzi, jak cicho do gospodarza podkrada się śmierć, pochyliła się nad nim, zajrzała mu w oczy. Nie zabiera go jeszcze, lecz wszyscy ją zauważyli, wszyscy odskakują od niego, wszyscy uciekają. Jedermann pozostaje sam. Nie sam, bo ze swojem bogactwem, ze swojem złotem. Lecz drwi z niego złoto

uosobione w Mammonie, wszak jego ze sobą na tamten świat zabrać nie zdoła. Wszystko go opuściło, lecz nie opuściła wiara i jego własne, może nieraz bezwiednie spełnione dobre uczynki: one go podtrzymują i odpędzając złe duchy (bardzo realistycznie przedstawionym i zaopatrzonym w niesłychanej długości ogon djabłem był Ludwik Rainer), wprowadzają do grobu. Ogromne wrażenie robi finał, — pochód żałobny za trumną dopiero co opuszczonego przez wszystkich człowieka, pochód tych, którzy po nim dziedziczą i tych, którym przyzwoitość towarzyska na pogrzebie być kazała; żałuje go prawdziwie jedna tylko matka.

Wszystko to się dzieje w średniowieczu, bez bliższego określenia epoki. Stroje bogatego mieszczaństwa niemieckiego z dużym wpływem włoskim. Lecz treść sztuki może się potoczyć z małemi zmianami w czasie i miejscu z każdym człowiekiem, którego powodzeniu kres śmierć położyć musi. Odczuwają to wszyscy widocznie, a tylu pomiędzy nimi jest bogatych. Niejedna twarz blednie. Niejedne ramiona zimny dreszcz wstrząsa.

A aktorzy. Trudno jest grać przy świetle dziennem, prawie bez grymu i w bezpośredniem sąsiedztwie, nieomal zetknięciu z publicznością. Artyści niemieccy świetnie wyszli z tych niepomyślnych warunków otoczenia.

Moissi, brzydki i już nie młody Moissi, był naprzemian rozbawionym młodzieńcem, rozpasanym hulaką, zrozpaczonym nieszczęściem i skruszonym pokutnikiem, — illuzja była kompletna. Dzielnie mu sekundowała w roli nierządnicy piękna Dagny Serwaes i Helena Chimig. Zresztą złych wykonawców, jak złych ról nie było. Wszyscy i wszystko się zlewało w jeden wielki, niezapomniany obraz. Żyło się w świecie fantazji i ta fantazja zdawała się być rzeczywistością.

Tam, gdzie pułk czwarty walczył na bagnety...



Jedną z najkrwawszych bitew w okresie powstania 1830-31 roku była bitwa pod Grochowem, która zdecydowała, na wiele miesięcy naprzód, o rezultacie powstania. Na miejscu, gdzie w słynnej olszynce, pułk „czwartaków“ dokonywał cudów waleczności w zapasach z wielokroć liczniejszym wrogiem, postawiono krzyż na pamiątkę tysiąca walecznych.

Z dniem 24 b. m. redakcja i administracja „7 DNI“ została przeniesiona do nowego lokalu przy ulicy MARSZAŁKOWSKIEJ 99 m. 1.

Przykazanie z za grobu









Od góry: gen. Henryk Dembiński, gen. Dezydery Chłapowski, ks. Adam Czartoryski, Emilja Plater.

Jakżeby dobrze było, gdyby ów uroczysty dzień listopadowy — dzień „listopadówki" setnej — okrasił wesoły promień słońca i spędził raz na zawsze chmury z naszego horyzontu, a z niemi — troski i bolesne rozpamiętywania, które w nas budzi gorzka mądrość doświadczeń...

Bo chociaż obowiązkiem współczesnych i przyszłych pokoleń jest ukorzyć się przed świętemi urnami — w których zamknięto bohaterstwo i męczeństwo naszych dziadów, to nikt wszak nie zaprzeczy, iż wszyscy, bez wyjątku, pragniemy nie myśleć już nigdy o żadnych przeciwnościach losu i wiecznie się radować.

Od nas już zależy, aby ofiara naszych dziadów nie była bezowocna. Niechże więc po raz ostatni dane nam będzie pomyśleć, iż możemy kiedykolwiek powtórzyć nasze błędy, nad któremi górowała przez tyle dziesiątków lat — wzajemna nieufność, tłumiąca w narodzie najszlachetniejsze dążenia i porywy.

Bo oto przypomnijmy sobie...

W chwili wybuchu powstania listopadowego dwie orjentacje dzieliły ludzi czynu.

Jedna z nich — to oportunizm, który mógł podyktować następujący pogląd: „Nie powstaliśmy z nienawiści do Rosji, lecz w upominaniu się o ciągle gwałcone konstytucyjne prawa nasze. Rosjanie, którzy wpośród nas pozostali, również jak i rodziny tych, którzy wyszli, mogą być spokojni, gdyż są bezpieczni pod opieką honoru narodowego. *Nawet nas nie przestał jeszcze wiązać z nimi wspólny interes. Sprawa naszej wolności nie może być dla nich obojętną, a związek i przymierze dwóch narodów słowiańskich wzmocni się jeszcze i wzniesie wspólną potęgę*" (Dziennik Powszechny Krajowy z 1-go grudnia 1830 r.).

Jako przeciwstawienie tym legitymistycznym poglądom, których gorącymi zwolennikami byli zarówno mężowie stanu (Czartoryski lub Lubecki), jak i wyżsi wojskowi z Chłopickim na czele — powstaje nieliczna zrazu grupa radykalna, domagająca się energicznego działania orężnego: jest to grupa „Towarzystwa Patrjotycznego", będąca w samej rzeczy „kontynuacją stowarzyszeń, które, przez lat piętnaście grobowego naszego spoczynku, pielęgnowały iskrę narodowego życia" (Gazeta Polska z r. 1830, Nr. 180). Radykalistom tym, przewodzili, jak wiadomo, ludzie niemniej godni, jak ci, co wsławili się w polu — Lelewel i Mochnacki, których imiona, mimo liczne błędy, jakie popełnili, otoczone są powszechną czcią.

A nastrój ogółu ludności?...

W ciągu paru dni po onej pamiętnej nocy — stolica, mimo że wszyscy, kto żyw, porzucili zajęcia, nie wiedziała narazie, jakie ma zająć stanowisko. Trwało to wprawdzie niedługo, bo wnet zarzewie powstania, podsycone entuzjazmem Klubu Patrjotycznego, rozgorzało w całej pełni.

W dniu 3 grudnia pojawiły się na wszystkich murach miasta napisy: „Witaj, jutrzenko swobody, za tobą zbawienia słońce"... W dniu tym powszechny zapał obudził widok wojsk, wkraczających do stolicy pod wodzą generałów Chłopickiego i Szembeka.

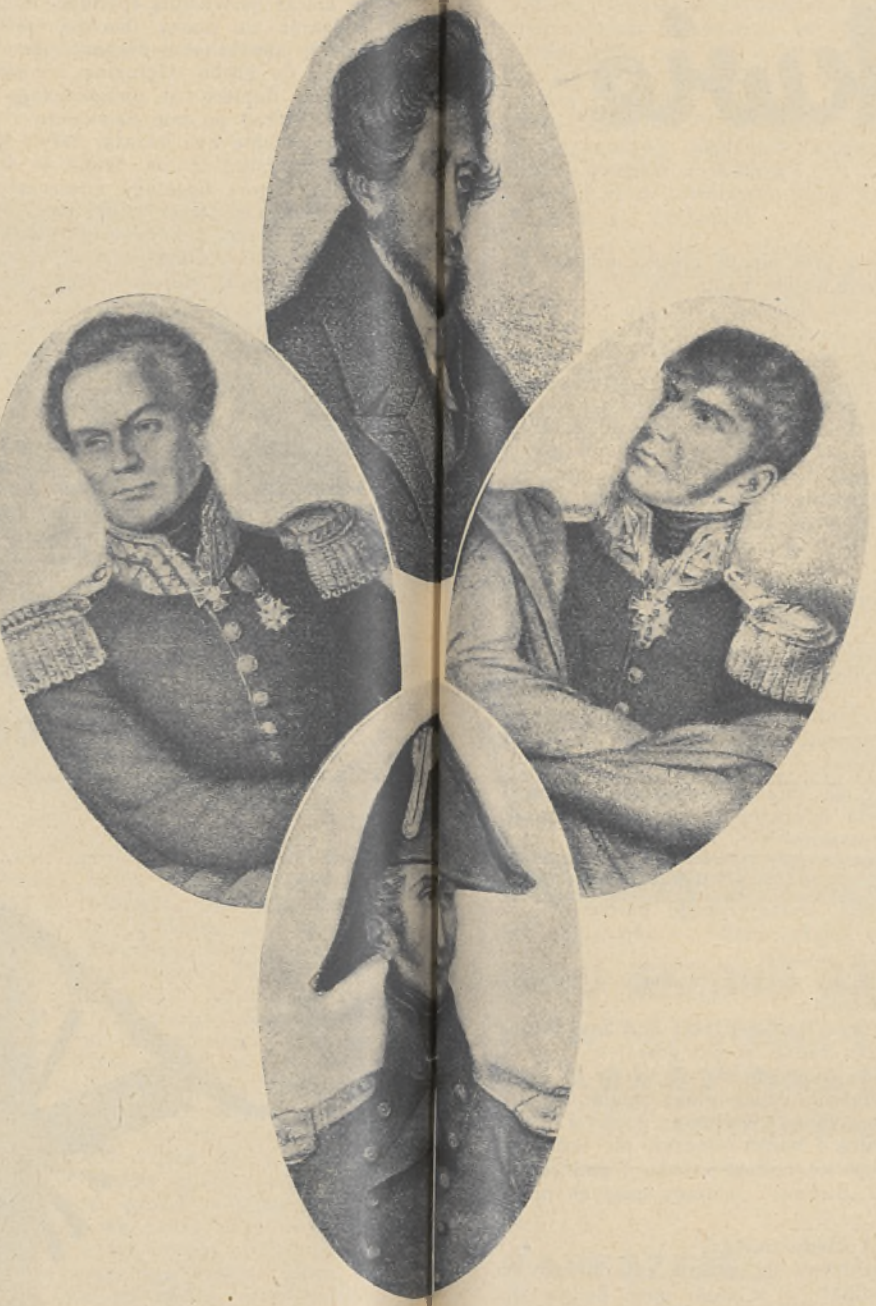
I od tej chwili, mimo kunktatorstwa, jakie cechowało posunięcia Rządu — praca zawrzała wszędzie, wszystkimi owładnęła żądza czynu.

Nastroje te lotem błyskawicy dotarły do najbardziej odległych zakątków kraju.

Oto dowiadujemy się naprzykład, z pamiętników Ludwika Jabłonowskiego, iż wieść o powstaniu dotarła już 1 grudnia do Lwowa i wywołała niesłychany zapał.

Barwny opis tego pamiętnego wieczora pozwolimy sobie przytoczyć *in extenso:*

... „Siedzieliśmy u brata mojej przyszłej żony, na wsi, o parę mil od Lwowa, przy herbacie i konjaku z fajkami, papląc o niebieskich migdałach, gdy za lokajem wślizgnął się ostrożnie Lejbuś, syn propinatora. Śmiały, jak każdy żyd, gdy w pokoju ani strzelby, ani psa niema, a panowie w dobrym humorze, zdjął jarmułkę, a kłapnąwszy lewym łapciem, powiedział: „*Tatele Krank, skazał, szczoby panom skazały, że Moskal z Warszawy weg*". Zerwaliśmy się, jakgdyby piorun między nas uderzył — pakuj! konie! bryczki! zaprzęgaj! — rotowym ogniem szło po całym domu i ciemnym dziedzińcu. W okamgnieniu latarnie, uwijały się baby, baty trzaskały, co kto złapał, porywał i siadał na bryczkę. Po chwili zastanowienia zdało się nam niepodobnem, by żydzi tak prędko otrzymywali wiadomości. Telegrafu jeszcze nie było, a Lejbuś klął się pod *hejrem* że *tatele* wie dobrze, bo byli u niego żydkowie von Brody, więc konie z miejsca kopnęły jak szalone, bryczki jękły i po nocy, błocie i kałużach, zaspach, jednym galopem dotarliśmy do Lwowa. Już na rogatce przekonaliśmy się ,że Lejbuś nie zawiódł i że wiadomość elektrycznym prądem od karczmy do karczmy przeleciała"...



U góry: Joachim Lelewel; z prawej stron[y] gen. Józef Chłopicki, z lewej strony gen. Jan Skrzynecki, u [doł]u: Piotr Wysocki.



Ilustracja francuska, wyobrażająca [zdob]ycie arsenału przy ulicy Długiej.

Więc tysiące młodzieży pośpieszyło na pierwszy zew do szeregów, a za nimi i dojrzali mężowie — wszelkich kondycyj, od najmajętniejszych do szaraków, kmiotków i ludu miejskiego — ze wszystkich zakątków kraju.

Do broni!... Wszyscy społem!...

Cóż się jednak okazało?

Oto wróćmy znów do pamiętnika Jabłonowskiego, w którym wyczytamy następujące wrażenia, przesiąkłe żółcią późniejszych lat bezowocnej ofiary:

„...Wrażenie Izby Sejmowej bylo dla mnie przykre. Postawy wystudjowane, twarze zastraszone a zarozumiałe, słowa karmelkowate, wymowa adwokacka, wszystko urągało położeniu. Wypatrywałem Dantona grzmiącego: „Na koń lub na lance" (bo to było dostateczne), wyczekiwałem burzy, podobnej do tej, co trzęsła Konwentem przy pasowaniu się stronnictw, ujrzałem karzełków, a słyszałem miodopłynne szepty. Wtem ucichł gwar, dał się słyszeć szmer — z ławki przemawiał ks. Adam Czartoryski. W jego dyplomatycznej postawie, spojrzeniu bezdusznem, głosie beztonnym, nie było nic męskiego, w mowie żadnego polotu, chwilki porywu, silnej woli lub przekonania".

„Mała ciemna salka, zwana Honoratką, ulubionem była miejscem ówczesnej demokracji. Mochnacki, Puławski, Gurowski, Goszczyński Seweryn, mieli w tych zgromadzeniach głos przeważny. Znałem ich wszystkich mniej więcej, ich cele i myśli. Byli to młodzi ludzie, oburzeni bezczynem rządu, przeklinali go, widząc, że to chwila, wymagająca bezwzględnej energji, ale ująć rząd w ręce, by przeprowadzić socjalne cele, nie było nawet ich marzeniem. Lelewel, uczony niedołęga, w którego zdolności, sami nie wiedząc czego, wierzyli, przypuszczony do udziału w rządzie, wtedy ich najzupełnie zadowolił. Późniejsza wieszanina, nie po ich myśli przeprowadzona, była wybuchem rozpaczy i zemsty za bezprzykładne niedołęstwo rządu, Sejmu, Naczelnego Wodza, ale chybiła celu, gdyż oszczędziła właśnie skazanych"...

I cóż z tego, że krwią naszych żołnierzy wypisane zostały świetne zwycięstwa? Cóż z tego, że cały naród rwał się do czynu? Że nie było obywatela, któryby nie pośpieszył Ojczyźnie z pomocą

W najbardziej krytycznych chwilach zmieniano dowódców, przekreślano plany, mogące zdruzgotać wroga — a z drugiej strony podsycano nieufność hałaśliwą krytyką i obudzaniem demagogicznych haseł. Frazeologja pokryła wszystko i pogrzebała żywotne siły narodu, pomimo, iż do ostatnich dni walki istniało prawdopodobieństwo zwycięstwa.

Orjentacje...

I na tem właśnie polega tragedja narodu, iż wielu z ludzi, na których ciążyła wówczas odpowiedzialność za losy Ojczyzny — winić nie sposób. Bo wina ich polegała na jednem, iż zapominając o najbliższych celach, a wykuwając niezniszczalne i zbędne ideologje — nie ufali sobie wzajemnie. Ostrza bagnetów kierowali we własne piersi.

Hałaśliwa krytyka wywołała upadek autorytetu władz, zachwiała w nich ducha i przyśpieszyła katastrofę.

Orjentacje...

A najgorszą jest ta, która w wirze walki opiera się na elementach niepewnych — byleby dopiąć celu.

W chwili kapitulacji stolicy — armje nieprzyjacielskie były niemal równe. Siłę zbrojną Polski, obudzoną do czynu przez najszlachetniejszych synów Ojczyzny, pokonało — jak pisze z goryczą Barzykowski — „zgromadzenie próżniaków ulicznych i polityków kawiarnianych, gdzie zły ksiądz, adwokat bez spraw, urzędnik wypędzony, żołnierz na bruku wojujący, szpieg z dawnego Rządu — okryci płaszczem patrjotyzmu, obok siebie zasiadali i stawali się tłumaczami praw Boskich, społecznych i zwierzchnikami losów Polski".

— — — — — — — — — — —

Słońce swobody już dziś nam przyświeca, nam, wnukom bohaterów z pod Stoczka i Grochowa. I dziś, w setną rocznicę ich wiekopomnych czynów, chwalebnie zapisanych w Panteonie narodu, schylmy czoła w skupieniu i ślubujmy, że nie damy się uwodzić grzechowi niezgody.

Tak nam dopomóż Bóg!...

Er.









Od góry: gen. Józef Bem, gen. Józef Dwernicki, gen. Józef Sowiński, gen. Ignacy Prądzyński.

MELCHJOR WAŃKOWICZ.

Pojedynek w Moskwie

(reminiscencje z 25-lecia szkolnictwa polskiego w Królestwie).

Moskwa — po Jełat'mie i Libawie — była trzecią z rzędu stacją mego „ekstierniaczanja". Tak bowiem przezwaliśmy wagabundowanie po Rosji w charakterze eksternów, zdających na maturę rządową. Nie udało się w Jełat'mie, ścięliśmy się w Libawie — pojechaliśmy do Moskwy.

W Moskwie — aż kipiało od eksternów z Królestwa. Nie sposób było nawet wszystkich poznać, ani przeliczyć. Nasze Jałatomskie bogobojne „ora et labora" i „za naszą i waszą" znikły w Libawie. W Moskwie zaś nikły Libawskie nastroje. Te tam wieczorki tańcujące z Libawiankami, odczyty i niewinna fanfaronada — to były igraszki sielskie anielskie.

Moskwa — gród wielomiljonowy w ludzi, wielomiljonowy w ruble — metropolja Wschodu, nasiąkła szaleństwem możnego i niefrasobliwego życia, to nie cichy pensjonacik w zacisznej Libawie.

Wśród gromadki, nowoprzybyłych do Moskwy żółtodziobów, był zupełnie młody chłopczyk, różowy, pulchny, jak wypieczona bułeczka, syn bogatego przemysłowca z Warszawy, cudzoziemca, zdawna w Polsce osiadłego.

Syn, nazwijmy go Kwapil, uważał się za Polaka; kółko, w którem się znalazł, stanowili przeważnie chłopcy, pochodzący ze wsi i biedny Kwapil, nie chcąc się dać zakasować, opowiadał niesłychane historje o swoich przygodach miłosnych, pojedynkach i t. p.

Nie wierzył mu nikt, bo w Warszawie miał opinję „maminego synka".

Młody Kwapilek postanowił wykazać się w praktyce jako „pożeracz serc".

Była tam, w sąsiedztwie pensjonatu, w którym mieszkał, dziewoja Katia, z nazwiska Puszkowa.

Dziewczynka była miła, strzygąca oczkami, ostrzelana, tak, że pokładaliśmy się ze śmiechu, kiedy Kwapilek z miną niezwyciężonego chodził do ogródka pensjonatu, gdzie na ławce zaczynały się gruchania, wróżenia z ręki, rozmowy psychologiczne, słowem — operacje strategiczne, według wszelkich zasad zdobywania nieprzystępnych bastjonów cnoty

Moskiewczka, jak moskiewczka — o byle co pozornie się gorszyła, wołała: „ach, kakoj wy nachał!" i niecierpliwiła się coraz bardziej, żeby ten „nachał" (bezczelnik) raz nareszcie zdecydował się być nachałem.

Już się zaczęły i jazdy „lichaczem" (dorożka na dętych oponach, zaprzężona w wysokiej wartości rysaka) i cukry, i kwiaty, ale ostatecznie nie było nic, z powodu — szacunek, z powodu ten nadmierny szacunek, którym otaczał rycerski Kwapil lekkomyślną Puszkowę.

I wtedy stała się rzecz okropna: był taki kolega, o nazwisko mniejsza, przezwiskiem „cadaver".

Drań to był, Boże dopuść, ponad dranie, filut, kombinator, naciągacz belfrów łaciny, doskonały, tennisista pierwszorzędny — wogóle: morowy chłop.

Ten ci, kiedy już Kwapil winwestował w nadobną Katię grubszy grosz, kiedy już dziewoja dojrzała do grzechu, jak gruszka na jesieni — pokręcił się, szelma, moskiewczkę tramwajem do par' - na Sokolnikach zawiózł, na karuzeli zabaw.. lodów dał, a co wziął, o tem dzieje nie mówią, dosyć tylko, że pulchny Kwapil nazajutrz czerwony był jak indor i wpadł na „cadavra", że mu ten zrobił „świństwo".

— To tak? To ty, łysy koniu, łaziłeś koło niej, stękając, dwa tygodnie, a jak ci kto drogę pokazał, to jeszcze grubijanisz? Nie bądź pan taki Otello, panie Kwapil — zaperzył się „cadaver" i poleciał do nas... abyśmy wyzwali w jego imieniu Kwapila na pojedynek.

Kwapilek wpadł!.. jubel był ogromny. „*Miles gloriosus*", bohater tuzina krwawych pojedynków, szerokoguba, blagier i łgarz — jednem słowem: szczeniak — wpadł!

Postanowiliśmy urządzić mu pojedynek, ale „dla bujdy".

Na drugi dzień Kwapila zaszczycili niezwykli goście.

Pierwszy wkroczyłem ja: jaki miałem uroczysty żakiet i jaki czarny śmiertelny krawat — mniejsza o to. Ale to szkło od zegarka w oku, imitujące monokl, to szkło od zegarka, „to było coś".

Za mną sunął wysoki, szczupły Jerzyk Dangel, również wyżakietowany.

— Dzieńdobry — powiada Kwapil.

Baczność, czytelniku! Zauważ, jak się teraz kłaniamy uroczyście, nie podając ręki i jak Jerzyk mówi bardzo srogim i bardzo godnym głosem (rok dopiero, jak mu się zmutował) przemawia:

— Przychodzimy w sprawie honorowej.

— Mocodawcą naszym jest pan Marjan Józef Jakób, Piotr, Leon K. — mówię ogromnie uroczyście Do prawdziwego Marjana dodałem cztery fikcyjne imiona „dla fasonu". Jerzyk potem pochwalił i powiedział, że było bardzo „stylowo".

— A co ja mu zrobiłem? — pyta Kwapil.

— Jakto, to wielce szanowny pan uważa określenie czyjegoś postępowania jako "świństwo" za nieobraźliwe dla gentlemana?

— To ja przeproszę — oświadcza się z gotowością Kwapil.

Uwaga! Zabawa gotowa się popsuć.

Przełykam uroczyście ślinę i wygłaszam taką oto tyradę:

— Warunki naszego mocodawcy, p. Marjana, Karola, Ignacego, Stefana K. są następujące: szanowny pan, w obecności całego gremjum kolegów, przejść winien na wszystkich czterech kończynach pod sprzętem, zwanym stół, wydając odgłosy, jakie wydaje czworonóg. imieniem „pies".

Łuna uderzyła na twarz Kwapila.

— Tego nie zrobię...

Ukłon.

Odwrót.

„Równo, sztywno, a bukietem w ręku".

Tegoż dnia dany był parol całej kolonji w Moskwie: „kiedy Kwapil poprosi kogo na sekundanta — nie odmawiać: będzie pierwszorzędny kawał.

Następnego dnia wieczorem, do pokoju mego wkroczył Michał Wężyk (t. zw. „Użik Szerioznyj"), z którym „eksterniczaliśmy" już bezskutecznie w Libawie, i Tadeusz Pełczyński, którego przezwiska wymienić „non possumus", jako że jest szef II oddziału i celuje w honorówkach.

Tych oto gentlemanów zaprosił sobie nieszczęsny Kwapil.

Posiedzenie było krótkie, ale treściwe. Brał w niem udział — o honory! — wyzywający, Marjanek K, onże „Cadaver", który skądciś wytrzasnął „pistolety". Były to dwie niezdarnie odlane z gipsu, w formie pistoletów skarbonki.

Uradziliśmy, że „szkoda bujdę zawcześnie kończyć", więc rozprawa zbrojna ma się odbyć za tydzień — w niedzielę.

Całe sześć dni, jakie nas od niedzieli przedzielało, zostało użyte na zgodne i jednomyślne straszenie nieszczęsnego Kwapila.

W opowiadaniach naszych „Cadaver" wyrastał na legendarnego bohatera.

W „Sanitas" — stołówce polskiej, w której stołowaliśmy się wszyscy, słyszałem, jak jeden z kolegów opowiadał drugiemu, tak, aby Kwapil mógł słyszeć, że był kiedyś na wsi w Płockiem, z „Cadavrem" i widział, jak tenże, jadąc na rowerze, na siedem strzałów z brauninga, sześć razy trafił jaskółki w lot.

Kwapil, przyczajony za zakurzoną palmą, którą „Sanitas" stół ozdobił — słuchał i puchł ze strachu.

Innym razem ktoś wpadł rzeżko, udawał, że nie spostrzega Kwapila i darł się:

— Wracam ze strzelnicy. Co ten „Cadaver" tam wyprawia, to cud nad cudy, as po asie!

Tak więc „bujda" otrzymywała coraz więcej opiekunów. Nie mogliśmy się opędzić chętnym „brania udziału" w pojedynku.

Z największą ostrożnością z pośród kolegów dalszych, nie stołujących się w „Sanitasie" i których nie znał Kwapil, wybraliśmy po doktorze i po felczerze z każdej strony.

Czterech chłopa w obsłudze sanitarnej — bo też bój miał być krwiożerczy, w dziejach nie notowany.

W oznaczony dzień, o godz. 5 i pół rano, do wspaniałego „lichacza" wsiadło trzech wytwornych gentlemanów w żakietach. Jerzyk i ja wieźliśmy „Cadavra" na plac orężnej rozprawy.

Spieniony rysak zawiózł nas na „Worobiowe gory", miejsce, skąd Napoleon spoglądał na pożar Moskwy.

Zasiedliśmy na tarasie wytwornej restauracji, która była miejscem zamiejskich hulanek arystokracji moskiewskiej i kupców.

— Co panowie rozkażą? — pyta kelner.

— Co pan każe podać, baronie? — pytam Jerzyka Dangla, autentycznego barona.

— A cóżby książę radził? — odpowiada Jerzyk, wchodząc w rolę.

— Ja zdaję się na gust hrabiego — powiadam do Marjanka.

Marjanek, onże Cadaver, jest kochany chłop: ten umie szyku zadać za psi grosz!

Sapie chwilę, pogardliwie obracając w ręku kartę win, wreszcie rzuca przez ramię:

— Butelkę „Citro" Kalinkina.

Książę, hrabia i baron kończyli pić lemoniadę, gdy rozległ się tentent rysaka i pod restaurację wpadł „lichacz", wiozący naszych przeciwników.

Kwapil był blado-zielony.

— Tłomaczyliśmy tej małpie całą drogę, że gdyby się cofnął — z nami mieć będzie do czynienia — szepnął Tadzio P.

— Powiada, że w zdenerwowaniu całą noc po pokoju chodził i bił muchy — dodał szeptem Wężyk.

Mieliśmy już ruszać na polanę w lesie, gdy przed restaurację przytruchtowała chabeta, wioząca dla taniości obu lekarzy i obu felczerów.

Jeden z nich pozwolił sobie na zadaleko idący dowcip: ze skórzanego „etui" sterczał, zgóry już zakrwawiony, bandaż. Mówił potem, że kupił w aptece karminu i posmarował nim merlę „dla fasonu".

W lasku brzozowym słońce wesoło drgało między delikatnemi listkami.

Na polanie ustawiłem Kwapila i „Cadavra" naprzeciwko siebie o piętnaście kroków.

Warunki były: pistolety gwintowane, z muszkami, ze sznellerami, potrójna wymiana strzałów, z podchodzeniem do barjery *„a bout portant"*, jak nie pomoże, to do niemożności walczenia, a jak i to nie pomoże, to jeszcze i wogóle...

Teraz zacząłem, zwróciwszy się do walczących, czytać protokół, najeżony bombastycznemi formułami.

Sekundanci, zwróceni ku mnie, tyłem do Kwapila, ryczą ze śmiechu, tak, że łzy im kapią po twarzy.

Patrzę w tył, a tu któryś z felczerów, bydlę, położył się na mchu i kula się ze śmiechu.

Kwapil stężał na swem stanowisku i nie widzi nic.

Teraz więc wygłaszam *speach*, tej, mniej więcej treści:

— Panowie, stoicie w obliczu Przedwiecznego; lada chwila poleje się krew; najprawdopodobniejsze, że obydwaj zostaniecie na placu,

a w każdym razie jeden z was; wzywam was do pogodzenia się.

Michał Wężyk zwija ogromne łapsko w pięść (zapomniałem powiedzieć, że pochodził z pod Szadka, i ile razy był wyrywany, krzyczeliśmy mu: „poczta Szadek", lub nieco inaczej) — i grozi Kwapilowi, podczas, gdy lewem łapskiem wystyrcza symboliczne dwa palce — co ma znaczyć: „będziesz się strzelał z nami dwoma, zamiast z jednym".

To też obaj adwersarze stoją jak mur: lepszy grób, niż dyshonor!

Zwracam się do sekudantów:

— Panowie sekundanci, proszę nabić broń.

I podczas, gdy sekundanci niby tam odmierzają proch, pokazują na dłoni — „kule" i stukają onemi gipsowemi skarbonkami o brzozę, przypominam, że postąpiłem nieprawidłowo, bo Kwapil, jako wyzwany, miał prawo orzec, czy wybiera pierwszy miejsce, czy broń — ja zaś go postawiłem po jednej stronie barjery bez pytania.

Tedy mówię:

— Panie Kwapil. Pan ma właściwie prawo wyboru miejsca. Czy pan wybiera miejsce, czy broń?

Nie odpowiada. Stoi milcząc. Czy słyszy?

— Panie Kwapil, czy pan wybiera miejsce, czy broń?

Milczenie. Szklany wzrok bladego człowieka, patrzy na mnie, znać w nim udręczony wysiłek, ale usta zdrewniałe nie drgną.

— Panie Kwapil...

I oto gdzieś, z głębi piersi, z głębi jestestwa, niby z poza świata, dobiega nas obcy, matowy, niesamowity głos, z trudem drewnianemi stacattami idący przez krtań:

— Stoję już..

W jednej chwili opada z nas krotochwila. Mniejsza o to, kto i jak — stoi przed nami udręczona dusza ludzka, która wychyliła się poza zręby doczesnego bytowania, którą wielki wysiłek jeno ściągnął z zaświatów.

— Pisał dziś w nocy testament i listy — słyszę za sobą czyjś szept.

Robi się nam straszno. Kwapil, trupio blady, z martwym wzrokiem, stoi, nieporuszony, na mecie. „Cadaver" zaczyna się kręcić — jest mu przykro pozostawać w podjętej roli.

Co robić?

Przywołuję szeptem sekundantów i ustalamy, że trzeba strony pogodzić. Bo jakże tu dawać człowiekowi w tym stanie, co Kwapil— gipsową skarbonkę w dłoń?

— Pogódźcie się...



— Imieniem mego mocodawcy komunikuję, że zgadza się na pojednanie — oznajmia Dangel

Wężyk i Pełczyński robią przyjazne i aprobujące miny. „Cadaver" zbliża się z wyciągniętą ręką. Kwapil — stoi jak słup.

— Idź, idź! — pchają go sekundanci. Rozumie wreszcie. Twarz mu zaczyna się zabarwiać, wzrok ożywiać. Podaje rękę „Cadaverowi".

Na tarasie tejże restauracji książę, hrabia i baron zamawiają dziwy dziwne: jest tam kawior gruboziarnisty i „stierlat" koleczkom, kokieteryjnie trzymająca w pysku koniuszczek własnego ogona i „wiaziga" — chrząstki z ryby i „kasza Gurjewska", w którą wchodzą gruszki, masło, grysikowa kasza i gęste pokłady kożuszków ze śmietanki.

Kwapil płaci...

Oparty o ramię niedoszłego swego zabójcy, bełkoce coś o ostatnim swym pojedynku w Pradze Czeskiej, w którym przeciął rękę swego przeciwnika do kości.

— To cholera! — mruczy zgorszony jeden z „lekarzy".

Ale słońce świeci tak przyjemnie, a Martell tak tolerancyjnie nastraja.

— Dddajcie mmu łłgać, ppanowie, mucha też musi żyć — mówi ktoś.

Jesteśmy rozczuleni tą głęboką sentencją. Płaczemy z rozrzewnienia nad sobą? nad muchą? nad Kwapilem?

Wszystko jedno.

Tak oto zakończył się pojedynek nowoczesnego Doweyki z Domeyką. A innym wersjom nie wierzcie... I o maturę — nie pytajcie.







ZIOŁA LECZNICZE CHOLEKINAZA LECZĄ CHOROBY WĄTROBY, KAMIENIE ŻÓŁCIOWE, ZŁĄ PRZEMIANĘ MATERJI. BROSZURA DR. T. NIEMOJEWSKIEGO PRZY KAŻDEM PUDEŁKU. SKŁAD GŁÓWNY: WARSZAWA, NOWY ŚWIAT 5.

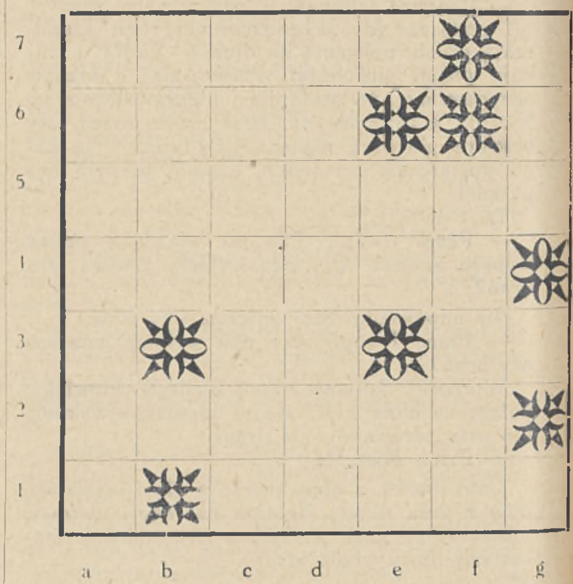


Okładkę projektował

LEON CHEJFEC

ROZRYWKI UMYSŁOWE

KRZYŻÓWKA.



ZNACZENIE SŁÓW.

Wyrazy pionowe:

a7 Minister w obecnym rządzie.
b7 Imię rosyjskie.
c7 Rodzaj materjału wschodniego. (wspak).
d7 Inaczej „przeinaczył".
g7 Kwiat.
e5 Nazwa litery.
f5 Wspak Rodzaj dziedzińca—ogrodu
e2 Jeden w jęz. obcym (wspak).

Wyrazy poziome:

a7 Zjawisko świetlne.
a6 Miara długości (wspak).
a5 Narzędzie rolnicze.
a4 Wyrzut skórny.
f3 Bożek egipski.
a2 Zamieszkana, odrębna część lądu.
c1 Uciskany ostrzem śpiczastem.

Nagrody

Za rozwiązanie krzyżówki z niniejszego N-ru przeznaczamy do rozlosowania nagrodę w postaci

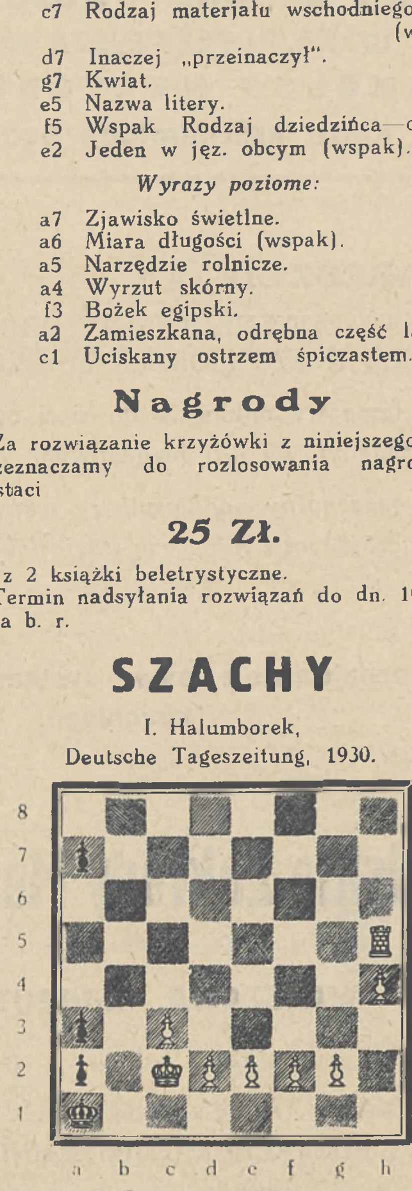
25 Zł.

oraz 2 książki beletrystyczne.

Termin nadsyłania rozwiązań do dn. 10 grudnia b. r.

SZACHY

I. Halumborek,
Deutsche Tageszeitung, 1930.



Mat w 5 posunięciach.

Z TEKI ANEGDOT

Słynny śpiewak, Bakłanow, gdziekolwiekby nie przyjechał, wszędzie był poprostu rozrywany przez najlepsze towarzystwo. Zaproszenia na herbatki, kawy, śniadania i obiady sypały się jak z rogu obfitości. Bakłanow niechętnie korzystał z tych zaproszeń, gdyż wiedział, że za niestrawną często wieczerzę każą mu w salonie śpiewać. A trudno przecież odmówić pani domu, gdy ta go prosi o jedną piosenkę. Kiedy jednak znalazł się na pewnym wieczorze, w jednym z pierwszorzędnych salonów berlińskich, pani domu poprosiła go, by uraczył jej gości odśpiewaniem jednej pieśni. Bakłanow wykręcał się, jak mógł, niedyspozycją, aż wreszcie, widząc, że jego zdrowie bynajmniej nie przejmuje miłą gosposię, powiedział:

— Chętnie bym to uczynił, ale jest już zbyt późna pora i sąsiedzi mogą być z tego powodu bardzo niezadowoleni.

— Ach! niech się pan tem zbyt nie deranżuje — odparła z uśmiechem dama — nasi sąsiedzi mają psa, który po całych nocach wyje i też się tem zbytnio nie przejmują.

*

Razu pewnego sławny kompozytor, Franciszek Lehar, został wezwany przez sąd w charakterze rzeczoznawcy. Przed sądem mianowicie stanęli, jako strony, dwaj młodzi kompozytorzy, z których jeden drugiemu zarzucał kradzież jego melodji. Ponieważ sędziowie nie znali się na nutach i dlatego nie mogli się opierać na gołosłownem orzeczeniu rzeczoznawcy, polecili wnieść fortepian i zagrać Leharowi obie melodje.

Po zagraniu obu utworów, przewodniczący sądu spytał się Lehara:

— Któż, zdaniem pana, jest w tej sprawie poszkodowany?

— Offenbach — odparł stanowczym tonem Lehar.

*

Innym znów razem zadano pytanie Leharowi: kiedy odniósł największy swój sukces jako dyrygent? Lehar opowiedział następującą historję:

— Działo się to jeszcze w tym czasie, kiedy po napisaniu „Wesołej wdówki" objeżdżałem z nią prowincjonalne miasteczka. W pewnem niewielkiem mieście austrjackiem dyrygowałem sam orkiestrą. Była wtedy bardzo słotna jesień, wobec czego znaczna ilość widzów chorowała na katar. Wycieranie nosów nie bardzo przeszkadzało orkiestrze, jedynie pewien jegomość, siedzący tuż za mną, kichał nieustannie i to właśnie podczas mego najsubtelniejszego pianissima. Wreszcie zirytowany niewczesnem kichaniem zakatarzonego widza zacząłem mu nadawać takt pałeczką. Otrzymałem wtedy takie brawa, jakich już później nigdy nie słyszałem. To był mój największy sukces.

*

Kompozytor operetkowy, Leo Fall, przechadzał się pewnego razu wraz ze swym librecistą, po deptaku jednej z najmodniejszych miejscowości kuracyjnych.

Nagle z otwartych okien jednej z will usłyszeli dźwięki walca, skomponowanego przez Falla. Walc był grany tak fatalnie, że wprost rozdzierał uszy słuchaczom.

— To jest pańska melodja, prawda? — spytał się towarzysz kompozytora.

— Jeszcze nie — odparł lakonicznie Fall.



„Złote szaleństwo", pół-finał nowej rewji w teatrze „Morskie Oko", w wykonaniu świetnego zespołu z J. Sokołowską, Z. Pogorzelską, Antoszówną, Krukowskim, Olszą i Bodo na czele. (fot. Brzozowski)

PIERRE MAC ORLAN. 10)

Noc Marji Chantal

(La tradition de minuit)

Streszczenie poprzednich rozdział:w:

W małej kawiarence paryskiej, pod nazwą „Bal motyli" zebrało się parę osób, wezwanych przez tajemniczą osobę, w sprawie jakiegoś olbrzymiego spadku. Po pewnym czasie, postanawiają wezwać właściciela lokalu. Ku wielkiemu swemu przerażeniu zastają go zamordowanego we własnym pokoju. Zjawia się policja, która bada zebranych. Są to: Eligjusz Mutter — antykwarjusz, Marja Chantal-Fosseuse — śpiewaczka, Lucjan Flahaut — dziennikarz, Ludwik Fraipont — chłopiec garażowy i niejaki Saint-Thierry. Śledztwo toczy się powoli, przyczem sprawa wikła się coraz bardziej tajemniczo.

Noc zakończono w „Lisie". Marja-Chantal nie piła. Podczas, gdy czterej przyjaciele sprzeczali się o różne kwestje, myślała, że ta noc jest ostatnią z serji tych, które ją napełniały wstrętem

— Dobrze nam tutaj, mała pani — rzekł Flahaut, biorąc ją za rękę.

Maria-Chantal potwierdziła uśmiechem. W tej samej chwili myślała: „Nie przestąpię więcej progu tej wstrętnej nory „Czarnego Słońca". Była gotowa do walki i, oczywiście, pewna zwycięstwa.

— Niech nam pani coś zaśpiewa na swój wieczór pożegnalny — prosił Pedralbez.

— Och, nie, nie chcę śpiewać.

Pozostali, usłyszawszy prośbę Pedralbeza, zaczęli nalegać. Właścicielka „Lisa" uśmiechała się pokornie, siedząc przy bufecie , a kelnerzy uciszali już zbyt głośnych gości, którzy spoglądali dokoła, przerażeni.

— Tylko jedną piosenkę.

— Zaśpiewaj cokolwiek, kochanie — szepnął jej do ucha Saint-Thierry — a będziesz miała spokój na całe życie.

Marja-Chantal wstała i stanęła na środku sali. Znajdowała się, tak jak lubiła, na środku wolnej przestrzeni. Śpiew przeistaczał ją momentalnie.

Zowią mnie Nelly, Nelly z Tampico!
„Ach, mała Nelly, Nelly z Tampico",
Rzekł do mnie młody *gaucho*,
„Jedź ze mną, ja zapłacę..."

Ta piosenka, ponura i szorstka, przywołała wspomnienie o innej publiczności, podobnej do tej, która jej teraz słuchała. Lecz tam gorące słońce równika pozwalało wszystkim instynktom i pragnieniom dosięgać zenitu.

Ta piosenka skazańca, gotowa była pobudzić ukryte instynkty ludzi w kierunku zbrodni, jeśli takby się spodobało ukochanym przez nich dziewczynom.

Słowa bogate w różnego rodzaju zwroty wystarczały, aby przekształcić w rozmaite postacie codzienną miernotę tych ponurych rycerzy nocnych rozkoszy.

Powodzenie Marji-Chantal było łatwe. Nie było jednak takiem, do jakiego była przyzwyczajona w skromnym lokalu nocnym, gdzie zarabiała na chleb.

Po raz pierwszy pochlebiono jej. Jakiś jegomość o dużych wąsach, który nie spuszczał z niej oczu, gdy śpiewała ze smutną nonszalancją, rzucił szklankę na podłogę i rzekł:

— Wolę stąd zwiać. Gdy jej słucham, ogarnia mnie melancholja.

Zakończenie tej nocy przybrało subtelniejszy charakter, niż zwykle. Wszyscy mężczyźni marzyli, ukrywszy głowy w dłoniach, a dziewczyny spoglądały na Marję-Chantal ze smutkiem. Wulgarna piosenka przyjęła się w tych wszystkich umysłach, łatwych do zapłodnienia.

Marja-Chantal szczęśliwsza, niżby się do tego chciała przyznać, dreptała grzecznie obok męża.

— Prawdopodobnie w końcu tego tygodnia, kochanie, będziemy musieli wyjechać do Barcelony — mówił Saint-Thierry. — Wysyłają mnie tam służbowo. Będzie to nasza podróż poślubna.

— Nie lubię podróżować, mój drogi. Wolałabym, żebyśmy zostali w domu.

— Nie wyjedziemy na długo, a po powrocie wynajmiemy inne mieszkanie, gdyż twoje jest za małe.

— Ty... ty... ty... — szepnęła Marja-Chantal szelmowsko.

— Co mówisz?

— Ty...

Uniosła się na palcach, podając mu usta. Saint-Thierry złożył na nich długi pocałunek, zanim zadzwonił do bramy jej domu.

VIII.

Eligjusz Mutter szedł do swego sklepu z arogancką miną. Jego jasne włosy lśniły w słabem świetle tego składu rupieci. Powitała go stylowa lalka z 1830 r., która, siedząc między dwiema kwiaciarkami z angielskiej porcelany, rzucała martwe spojrzenia na coraz wyraźniejsze skutki inwazji kurzu, moli i wielkich much, hodowanych przez centralne ogrzewanie. Eligjusz Mutter został wezwany przez sędziego śledczego, zajmującego się sprawą Noel'a. Oddawna już gazety przestały pisać o tej zbrodni i podsycać ciekawość publiczności. Eligjusz Mutter nie był w dobrym humorze. Zdjął melonik i zastąpił go swoją małą czapeczką. Kie-

dy podniósł rolety, zasłaniające dwa okna wystawowe, usiadł na chwilę, aby zapalić papierosa. Przyglądał się swoim okazom, które miały przyciągać przechodzącą publiczność. Stos płyt gramofonowych w języku żydowskim sąsiadował ze zbiorem kompletnym dzieł Jana Jakóba Rousseau, w mało ciekawem wydaniu. Eligjusz Mutter otworzył album fotografij i przyglądał się długo pożółkłemu portretowi młodej dziewczyny, w krynolinie i szalu. Potem wziął medal św. Heleny, przypiął sobie do klapy marynarki i stanął przed lustrem, aby osądzić efekt. Włożywszy z powrotem medal do pudełka, pełnego monet, przeszedł do alkowy w głębi sklepu. Był to dosyć duży, czysto utrzymany pokój, z zamurowanem oknem od podwórza. Światło żyrandola elektrycznego paliło się o każdej porze. Wielki patefon, podobny do sekretery empire, zajmował jeden z rogów w pobliżu kanapy. Małe biureczko w stylu Dyrektorjatu, pokryte papierami, duża mahoniowa bibljoteka, pełna książek i płyt, dwa fotele i trzy krzesła plecione stanowiły umeblowanie tego pokoju, który Eligjusz Mutter z dumą nazywał swoim gabinetem.

Eligjusz Mutter otworzył szufladę biurka i wyjął bronzową papierową okładkę, zaopatrzoną w zieloną naklejkę, z wypisanym rondem tytułem:

Sprawa Noel-le-Caid'a.

— To nic wielkiego, nic wielkiego, nic wielkiego — śpiewał sympatyczny antykwarjusz, przeglądając kolejno wszystkie swoje dokumenty.

Usłyszawszy hałas w sklepie, Eligjusz Mutter odłożył szybko papiery na miejsce i zamknął szufladę na klucz.

— Kto tam? — zawołał. — Już idę.

Zobaczył małą dziewczynkę w berecie, która przestępowała z nogi na nogę, dłubiąc w nosie. Nie była ładna. Miała jasne, krótko obcięte włosy, duże, zawsze otwarte usta, odsłaniające nierówne zęby. Wyglądała na dwanaście lat.

— Ach, to ty, Chéri-Bibi! — powiedział Mutter. — Czego chcesz?

— Mama kazała mi przyjść do pana posprzątać. Sama nie może przyjść, bo jest chora.

I brzdąc, zamyśliwszy się chwilę, dodał:

— Biorę tyle, co mama.

Eligjusz Mutter, który, słuchając jej słów, kiwał głową, wybuchnął gniewem:

— Nie chcę, żebyś do mnie mówiła tym tonem, słyszysz? Nie pozwalam na żadne drwiny! Twoja matka daje ci tylko złe rady i zobaczysz, że marnie skończysz. Sama wkrótce się przekonasz, jaki obrót przyjmą sprawy, bo wcale nie jesteś głupia.

— No, w takim razie zwieję — oświadczyła dziewczynka, nie przejmując się zbytnio burą.

— Nie to chciałem powiedzieć — mówił Mutter, uspokajając się szybko. — Bierzesz wszystko dosłownie. Włóż lepiej fartuch, który wisi za drzwiami, i zacznij od zamiatania sklepu. Przedtem zagotuj wodę na kawę i przestań dłubać w nosie: w twoim wieku to jest tak samo śmieszne, jak w moim. Pójdziesz po dwa gorące rogaliki, jeden dla ciebie, drugi dla mnie i po bułkę dla psa, który przez cały tydzień przynosił mi gazetę. Czy widział ktoś, jakeś tu wchodziła?

— Policjant, który stoi na rogu — odparła Chéri-Bibi — mleczarka i bachorek sprzedawcy ostryg.

— Widzisz... nie potrafisz przejść, żeby nie zwrócić uwagi! Idź sprzątać, żeby cię wszyscy widzieli przy otwartych drzwiach. Trzeba, aby wszyscy mogli stwierdzić, żeś przyszła tutaj sprzątać sklep i ugotować mi kawę. Zresztą, wiesz co? Idąc po rogaliki, wstąpisz do pana Flahaut, do hotelu. Nie pójdziesz do niego do pokoju, słyszysz, Chéri-Bibi, tylko powiesz portjerowi, aby zechciał powiedzieć panu Flahaut, że czekam na niego i proszę, żeby zaraz do mnie przyszedł. Jak wrócisz, załatwiwszy to, co ci mówię, ugotujesz kawę. Idź, Chéri-Bibi i nie rób takiej głupiej miny.

(D. c. n.)

Historja i ludzie na wesoło

Jedną z anegdot, najdosadniej może charakteryzujących w. ks. Konstantego, jest historja sporu, wynikłego pomiędzy nim, a carem Mikołajem w sprawie o... spodnie.

Oto bowiem, wśród szeregu reform, którem zaznaczyły się początki panowania monarchy, jedna z pierwszych dotyczyła koloru wojskowych „pantalonów". Car zadecydował, iżby piękne białe, łosiowe spodnie, doskonale pasujące z wzorzystemi frakami i wysokiemi butami palonemi, miały być zastąpione jakiemiś szaremi pantalonami z szeroką wypustką.

Szczegół, zdawałoby się, małoważny — białe, czy szare? — aby tylko były. Sprawa ta jednak do głębi serca oburzyła w. ks. Konstantego. Bo jakże to? I jego, znawcę i specjalistę od parad wojskowych, nie zapytano o zdanie? Przekładał, molestował, ba, nawet groził... „Ustąpiłem tobie korony, a ty mi nie chcesz ustąpić pantalonów?" — pisał w jednym ze swych listów do cara.

Konflikt ten rozstrzygnął mimowoli oficer polski, a zarazem fligel-adjutant cesarski, pułkownik Józef Załuski. Załuski bowiem, wyprawiony wraz z delegacją oficerską do Taganrogu, nie dowiedział się, oczywista, podczas swej podróży o zaszłej zmianie i, stawiwszy się do stolicy, natychmiast zameldował się na pokoje cesarskie w dawniej obowiązującej formie

Zebrani oficerowie wyjść nie mogli ze zdumienia, iż pułkownik Załuski ośmiela się postępować wbrew wyraźnemu rozporządzeniu osobistemu cesarza, pułkownik jednak wzruszył ramionami, uważając, iż podróż dostatecznie usprawiedliwia jego postępowanie, a służba nakazuje mu niezwłocznie po przyjeździe zameldować się.

Wyszedł cesarz Mikołaj do sali audjencjalnej i w tej chwili dostrzegł Załuskiego. Długo mu się przypatrywał, aż wreszcie wyrzekł:

— A jednak, panowie, dawna forma wcale jest ładna.

I refleksja ta pociągnęła za sobą nową zmianę w umundurowaniu, przywracającą starą.

W ten sposób pułkownik Załuski przyczynił się do załagodzenia „historycznego konfliktu" pomiędzy braćmi i wyrównania ekwiwalentu korony za spodnie.

*

Był sobie po wypadkach w 31 roku biedny emigrant, Władysław Tymowski, którego prawdziwem nieszczęściem było posiadanie w kraju brata, Józefa, gorliwie wysługującego się dworowi rosyjskiemu, a nieszczęściem było tem większem, iż brat był jedyną ucieczką przed gryzącą nędzą.

A pan Józef, pragnąc uniknąć podejrzenia, iż stosunki utrzymuje z bratem „buntowszczykiem", tak daleko posunął swą lojalność, iż nie odpieczętowując listów, nosił je do groźnego Paskiewicza.

— Cóż to nie wezwiesz brata, by tu do kraju przyjechał? — zapytał raz Paskiewicz. — Zostałeś przecież niedawno szambelanem Jego Cesarskiej Mości, nie odmówię ci więc tak drobnej przysługi, by pomóc tu brata sprowadzić..

Napisał więc pan Józef, że tak, a tak, że jest szambelanem, że dość emigranckiej tułaczki, gdy tu łaska cesarska możliwa, a z nią spokój i dostatek i t. d., i t. d.

Przyszła odpowiedź i, utartym zwyczajem, zaniósł pan Józef list Paskiewiczowi, nie otwierając koperty.

A Paskiewicz, jak to zwykle czynił, łaskawie raczył list otworzyć, ale krótko czytał i z pa-

sją na ziemię cisnął. Nie był to bowiem list, a krótki czterowiersz wielce nieprzystojnej treści. Oto bowiem co pisał pan Władysław:

„Odebrałem twe pismo z siedemnastej daty,
Nie pisałem o rady, ale o dukaty.
A ponieważ zostałeś dworu szambelanem,
Całujże mnie... z najjaśniejszym Panem“.

Na tym oto liście zakończona została korespondencja braterska i karjera pana Józefa przy dworze.

*

Wśród wielu zasłużonych mężów, o których historja emigracji naszej wdzięcznie wspomina, bywały i typy, wprost nadające się do krotochwili.

Do takich należał niejaki Boczko, członek towarzystwa litewskiego i ziem ruskich w Paryżu, przybyły do stolicy Francji po wypadkach 1831 roku.

„Pan naczelnik Boczko — opowiada o nim Konstanty Gaszyński — aczkolwiek kutwa, ale że krew polską i szlachecką w żyłach miał, lubił u siebie przyjmować. Nie kosztowne zresztą były to uczty: herbatka z rumem, ciasteczka i niezbędny w owych czasach faraonik, który do stołu przyciągał amatorów hazardu.

Pan Boczko raczył swoich gości przeróżnemi dykteryjkami, których był wielkim specjalistą, opowiadając im niebywałe zdarzenia. Oto, naprzykład, jedna z nich, którą wszyscy Polacy, wówczas mieszkający w Paryżu, doskonale znali i aczkolwiek pan naczelnik na Mękę Pańską zaklinał się, że wszystko tak było, Gaskon albo Marsylczyk nie powstydziłby się podobnego łgarstwa.

„Kilka miesięcy temu — mówił pan naczelnik — a było to w septembrze, pojechałem na wieś do jenerała Lafayette'a. Przyjął mnie serdecznie, jako że stary był to mój przyjaciel, i zasiedliśmy bez ceremonji do stołu.

Ledwo żeśmy pierwszą łyżkę strawy zjeść zdążyli, aż tu zajeżdża sześciokonna kareta, a w niej Filip z córkami. Gospodarz ucałował się z królem, mnie przedstawił grzecznie i posadził gości za stołem. Zjedliśmy bez ceremonji doskonałą przerastałą sztukamięs z ogórkiem, pekelflejszu półmisek, tygiel zrazów z kaszą radomską, pieczeń huzarską z sałatą, a potem cukrów, wetów i specjałów bez liku.

Gdy po obiedzie przyniesiono kawę, rozwiązał się Filipowi język i bez ceremonji jął prawić o polityce i przywróceniu Polski. Sprytny człowiek. Podobałem mu się niezmiernie i odjeżdżając prosił, żebym bywał u niego.

Odtąd często chodziłem do królewskiego pałacu, tyłami, incognito, aby, broń Boże, cesarz Mikołaj o tem się nie dowiedział. A gdy przyjdę, to fetują mnie, jak księcia. Filipówny rade mi i żartują ze mną, że aż matka, trochę dewotka, ale kobieta bardzo przyzwoita, musiała je nieraz łajać bez ceremonji.

Jakiego figla mnie wypłatał jednak król, nie spodziewałem się tego po jego przyjaźni. Oto niedawno temu, gdy graliśmy w pikieta i przegrałem do Filipa 20 franków, których mu zapłacić nie mogłem i obiecałem bez ceremonji odnieść za pierwszą okazją, patrzajcie, co ten Filip mi zrobił: nadszedł dzień pierwszy miesiąca, idę po odebranie żołdu, aż kasjer zamiast osiemdziesięciu daje mi tylko sześćdziesiąt franków. Zrazu nie wiedziałem, co to znaczy, aż sobie przypomniałem ten dłużek karciany, który król kazał sobie potrącić. Tak mnie to ubodło, że Filip memu oficerskiemu słowu nie dowierza, że więcej do niego nie poszedłem, choć król nieraz do mnie pisał bardzo grzeczne listy“.

Dostęp do morza to mocarstwowe stanowisko Polski

Najprzyjemniej upływa podróż samolotem

Nowoczesne dekoracje wnętrz

WYSTAWA PRAC ART. MAL. ZOFJI RACZYŃSKIEJ - ARCISZEWSKIEJ. U B-CI JABŁKOWSKICH.

Wystawa prac Zofji Raczyńskiej - Arciszewskiej rozwiązuje w sposób pomysłowy i oryginalny niejedno dręczące zagadnienie, z zakresu mieszkaniowej estetyki i komfortu. Niskie, połyskujące gładkim, ciemnym lakierem (zbliżonym do japońskiej laki) mebelki, mogą się znaleść z równem powodzeniem wszędzie: w zacisznym buduarze kapryśnej pani, w męskiej palarni, a nawet w kąciku reprezentacyjnego salonu.

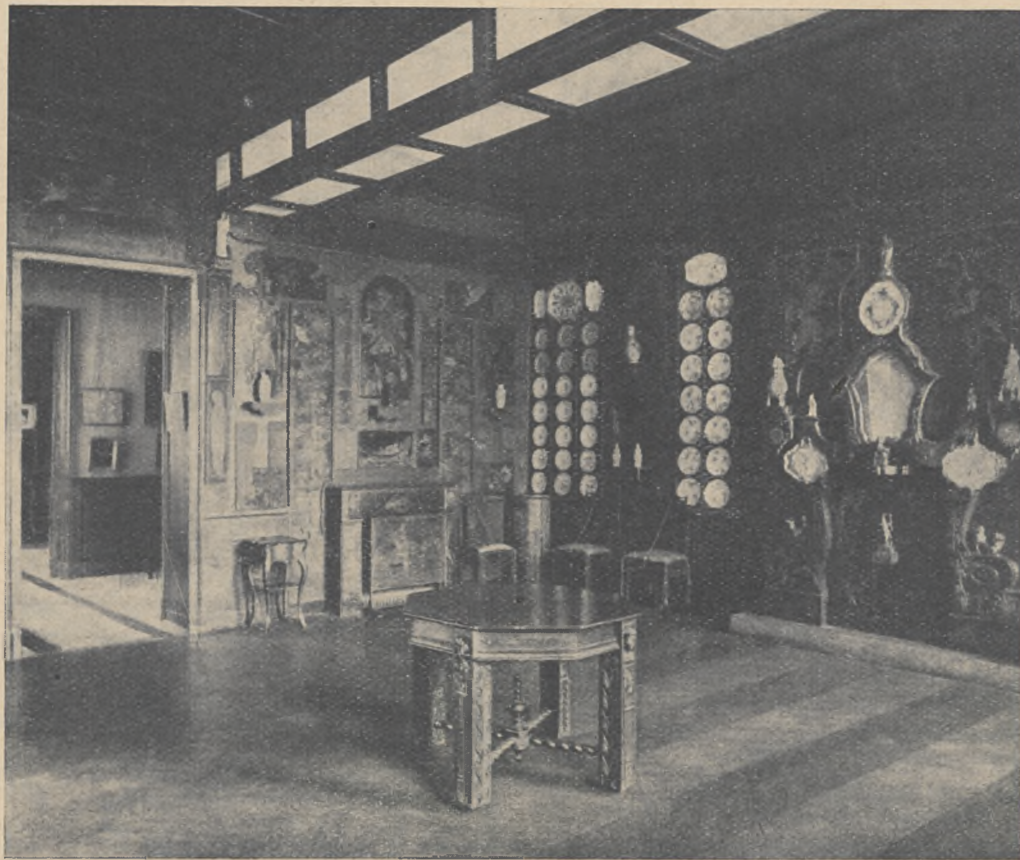
Specjalnością artystki par excellence, były zawsze i pozostają nadal — lampy. Lampy i ich abażury. Mnogość i rozmaitość tych lamp na wystawie u B-ci Jabłkowskich, jest nieskończona. P. Z. Raczyńska-Arciszewska zdaje się nie uznawać rzeczy wielkich i małych, nic nie jest zbyt drobne czy błahe dla jej talentu. Nie lekceważy najmniejszego drobiazgu. Olbrzymie abażury dobrane do słupków - wazonów z chińskiej lub sewrskiej porcelany, nie są wykończone z większym artyzmem i pieczołowitością, niż mikroskopijne abażurki na lichtarze.

Tkanin, tym razem, wystawiła artystka niewiele. Trochę poduszek o rysunkach geometrycznych, arcyprzyjemnych w kolorze, kilka makatek na ściany, jedno większe panneau, harmonizujące z deseniem lakierowanego parawanu — to zdaje się wszystko. Ta powściągliwość w zakresie tkanin, wynika może ztąd, że p. Raczyńska liczy się zawsze i przedewszystkiem z charakterem współczesnego wnętrza a obecne tendencje dekoracyjne nakazują raczej unikania tkanin, zarówno ze względów praktycznych, jak i higjenicznych. To też wszystkie niemal wyroby p. Raczyńskiej wykonane są z materjałów trwałych i dających się doskonale zmywać.

Nie małą ozdobę wystawy stanowią kwiaty. Kwiaty z jakichś tajemniczych substancyj, przejrzystych i połyskliwych jak szkło, elastycznych jak papier. Ni to kwiaty, ni to klejnoty. Nie więdną, nie zsychają się i nie płowieją, dają się spłukiwać pod kranem podobnie jak — abażury z dużych, ręcznie malowanych wazonów, opadają malowniczo niby liście wierzby płaczącej.

Sztuka p. Zofji Raczyńskiej - Arciszewskiej jest sztuką stosowaną w najlepszem tego słowa znaczeniu.

Well.



Wnętrzne muzeum pamiątek po Wiktorze Hugo. Dekoracje ścienne wykonał poeta sam.

HUMOR



Jegomość, który oświadczył 20 minut temu, że streszcza swój wniosek.



„W cichym domku". Karykatura przekroju domu, aktualna à propos granej obecnie w Ateneum „Ulicy". (Rire.)

Wśród książek

Alfredo Viglieri. — 48 dni wśród lodów. Przegląd z oryginału italskiego Franciszka Baturewicza. Nakł. Polski Instytut Wydawniczy „Sfinks" Warszawa — Gdańsk. 1930.

Niezmiernie ciekawa książka. Rzecz, którą powinni przeczytać dorośli i młodzież. — Wszyscy...

Rzecz ta jest dla wszystkich ciekawa i pouczająca, gdyż stanowi nietylko szczegółowy dyarjusz tragedji nieszczęśliwych członków wyprawy Nobilego, ale zawiera ponadto wiele cennych uwag i myśli — zarówno filozoficznego charakteru, jak i patrjotycznego, świadczącego o wysokiem poczuciu przywiązania do wielkiej Italji i nauki, które pomogło rozbitkom wytrwać w ciągu 48-u długich dni i nocy wśród bezkresu śnieżnych i lodowych przestrzeni.

I jeszcze jedno... Alfredo Viglieri nie zapomina, iż jest marynarzem i oczywiście, należny hołd oddaje swym kolegom.

„Pragnąłbym, — mówi autor w słowie wstępnem — aby wspomnienia te ożywiły w sercach młodzieży sympatję dla wojska, któremu służę z zapałem i aby na morzach świata, w okresach wojny czy pokoju, powiewał sztandar włoski, ukazując się w najdalszych zakątkach, a jednocześnie wzbudzając dla siebie szacunek i podziw coraz liczniejszych rzesz ludów."

Autor żadnej nie pominął sposobności, aby wysunąć na pierwszy plan barwy italskie, gdyż szczerze pragnie, aby wszyscy, na całym świecie, dzielili jego pogląd.

Nie zapominając również i o tych, co z nimi czy dla nich poświęcili wszystkie swe wysiłki, podkreśla następującą myśl: „Czyny zasłużone idą w parze z cierpieniem. W cierpieniu bowiem dopiero znajdujemy bogactwo nieoszacowane. I dlatego ludzkość wynosi bohaterów i wojowników. Poświęcenie ich toruje drogę ludzkości. Cierpienie szlachetnych jednostek staje się życiem dla wszystkich, ratunkiem zaś dla wielu..."

Piękna doprawdy, książka Viglieri powinna — powtarzamy — dotrzeć do wszystkich, gwoli, natchnienia najszerszych rzesz najszlachetniejszym optymizmem i niezwykłą tężyzną duchową.

Nie możemy pominąć milczeniem jednego jeszcze waloru tej rzeczy — doskonałej formy literackiej przekładu, a to dzięki zasłużonemu tłumaczowi wielu dzieł italskich, p. Franciszkowi Baturewiczowi.

Bruno Winawer — Trzysta miljonów koni — Warszawa — Bibljoteka Groszowa — Str. 197.

Jest to książka naprawdę niesłychanie barwna. Świetny komedjopisarz i jedyny w swoim rodzaju u nas dziennikarz-feljetonista zebrał tu swoje pyszne „kawałki" i fragmenty, podał je złożone „razem" tak, że czynią dziwne wrażenie jakby filmu popularno-naukowego, lekkiego, zajmującego, nawet wesołego. W tej dziedzinie jest dziś Winawer niezaprzeczenie mistrzem. Opowiada nam o gigantycznym postępie ludzkości, o wynalazkach, cudach techniki i innych najrozmaitszych, najczęściej „trudnych" rzeczach tak jakoś łatwo i dostępnie, że czytając, nietylko się nie nużymy, ale się nawet uśmiechamy, a przeczytawszy, stwierdzamy z pewnem zdziwieniem, że dowiedzieliśmy się rzeczy nowych, i żeśmy się czegoś nauczyli. I to jest właśnie największą zaletą i najpiękniejszym darem talentu Winawera.

„7 DNI" WYCHODZI CO CZWARTEK W WARSZAWIE — KRAKOWIE — POZNANIU — LWOWIE — I WILNIE

Prenumerata krajowa wraz z przesyłką: kwartalna: 5.50; półroczna 10.50, roczna 20 zł. Prenumerata zagraniczna: kwartalnie 8 zł., półrocznie 15.50 zł., rocznie 30 zł. Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Marszałkowska 99. Tel. 525-85. Konto PKO 19-447. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.

Administracja nie przyjmuje zastrzeżeń w sprawie lokowania ogłoszeń i nie odpowiada za terminowy ich druk.
Ceny ogłoszeń: cała strona zł 1 200, ½ strony zł 600, mniejsze podług ilości milimetrów, 1 m m 1 szpaltowy zł. 1.50, układ 3-szpaltowy.
Klisze ogłoszeniowe zajmujące więcej, niż szerokość 1 szpalty są liczone jako dwuszpaltowe, zaś więcej niż dwie szpalty — jako 3 szpaltowe.
Ogłoszenia dwubarwne o 50% drożej.

Redaktor naczelny EUGENIUSZ RAFALSKI — Wydawca: „PRASA ILUSTROWANA" S-ka z ogr. odp.

Sp. Akc. Zakł. Graf. „Drukarnia Polska" Warszawa, Szpitalna 12. Tel. 717-98 i 504-46.